Nr. 6. Warszawa, dnia 24 Stycznia (5 Lutego) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Czem się to skończy? — Tydzień polityczny. — ODCINEK: W. Doroszewicz: Sachalin (c. d.). — ŻYCIE SPOŁECZNE: Szkoły budowlane. — Kronika poznańska, p. et. — Biedne Włochy! p. W. Bugla. — Ubezpieczenia na życie, p. W. — LITERATURA I SZTUKA: Krytyka i antropologia, p. dr. L. Winiarskiego. — Malarstwo, II, p. Michała Mutermilcha. — Przegląd muzyczny, p. Br. N. — Notatki literackie i artystyczne. — POEZYE: Dzwon pamięci, p. El—ka. — W dali. — Kronika. — Ogłoszenia.

Od Administracyi.

Szanownym abonentom, którzy nadesłali przedpłatę w ostatnich tygodniach, nie możemy dostarczyć numerów styczniowych PRAWDY, gdyż zostały wyczerpane.

POLITYKA.

CZEM SIĘ TO SKOŃCZY?

Rozruch wywołany przez Niemców czeskich w Radzie Państwa, podtrzymywany w Czechach, obstrukcyonizmem swym obezwładniający sejm w Pradze, rozpościera się już po całej Przedlitawii. Tej armii napastniczej, która przez Czechy dobiera się do serca Austryi, do jej organizacyi i organizmu politycznego, przybywa nowy korpus — kawaleryi uniwersyteckiej, studentów, którzy, wnosząc z sobą do walki młodość, zbiorowy indywidualizm niemiecki do wyższej jeszcze, niż dotychczas, podnoszą potęgi. Z ich wejściem na widownię, walka staje się głębiej narodową, większej nabiera zaciętości. Poszło wprawdzie tylko o kokardy, o bawełniane talerzyki i spodki na wierzchy głów wsadzane, ale spór od początku miał charakter polityczny. Zanim opinia czeska w Pradze dopomniała się nieusłuchanego zakazu, już studenci niemieccy na ulicach praskich prowadzili wojnę podjazdową z Czechami, radowali się demonstracyami Wolfa w sejmie, poddawali się komendzie od nieprzejednanych wychodzącej. Dzięki uciskowi, jakiego Niemcy doznają w Austryi, studenci uniwersytetu praskiego mogli złożyć d. 29 z. m. wielki wiec w Litomierzycach i na nim wydać wszystkim uniwersytetom hasło: — Nie chodzić na wykłady! I uniwersytety poszły za hasłem.

Nie ucząc się, będzie teraz młodzież politykowała, a nietylko młodzież: profesorowie, jak pierwej sami zachęcali do wiecu, tak teraz zachęcać będą do wytrwania w oporze i uczestniczenia w ruchu, który z każdą chwilą coraz bardziej narodowym, i nawet plemiennym, żywiołowym, się staje. Tylko czekać jak szkoła średnia pójdzie za przykładem głównych,—jak ogień nienawiści, rozpalony już w rodzinach niemieckich, wybuchać zacznie z niemieckiego drobiazgu, zaledwie odrosłego od ziemi. Pospólność niemiecka przeniknie wszędzie, gdy raz już objawiła się solidarnością sejmów krajowych. Uchwały, wydane przez Niemców sejmujących w Linzu i Wiedniu przeciwko rozporządzeniom p. Badeniego z d. 5 i 22 kwietnia r. z., zamieniają opór Niemców czeskich w pospolite ruszenie wszystkich Niemców przedlitawskich; a motywa uchwały zapadłej w Wyższej Austryi pokazują jasno cel, do którego zmierzają ci „kulturowo i historycznie wyżsi,“ dopominając się zniesienia administracyjnych prawideł poprzedniego rządu: chce im się Schmerlinga i centralizacyi, ujęcia znowu wszystkiego w swe ręce,— konstytucyi, wolności i władzy dla siebie, a karmienia innych narodowości tylko ich odpadkami. Węzły tego sprzysiężenia, wrogiego wszystkim, niebezpiecznego dla samej zasady życia politycznego Austryi, zaciśniają się coraz ściślej. Z roli Ebenhocha w Linzu widać, że już większość w Radzie Państwa na jego stronnictwo niemiecko-katolickie liczyć nie może, nie powinna. Posłowie tyrolscy również zaczynają już swoją zachowawczość tłumić swojem niemiectwem — i wchodzą do harcującego Koła wszechniemieckiego.

Na zjeździe w Litomierzycach była i młódź szkolna z Drezna. Stolica Saksonii, przebywającej teraz ciężkie rządy reakcyjne, nie dziś już była i dla starszych widownią i źródłem zasilającem ruch Niemców czeskich. Tam już na zjazdach strzeleckich Schönerery miały sposobność do uznania na cały głos granic politycznych między Austryą a Niemcami za nieistniejące dla narodowości niemieckiej. Tam Schönerer na początku wiosny r. z. odbył naradę nad obroną interesów austro-niemieckich przy udziale rozumów niemieckich poza-austryackich. Interpelacye w sejmie cesarstwa niemieckiego w grudniu r. z. dały jawny wyraz temu poczuciu nietylko plemiennej i narodowej, obyczajowej i cywilizacyjnej, ale politycznej wspólności, której nienasycone pragnienie rozdziera pierś niemiecką na północy i na południu. Gdybyśmy znali tajemnice dyplomacyi, wiedzielibyśmy: jak rząd niemiecki istotnie ze stanowiska swych interesów, a nie ze stanowiska przyzwoitości dyplomatycznej, zapatruje się na dzisiejszy ruch Niemców w Austryi; co sobie z niego karbuje do zapamiętania i zużytkowania w przyszłości; w jakim stopniu wspólność krwi odczuwa i rządowi austro-węgierskiemu to odczucie swoje choćby tylko do wiadomości podaje. Już jako sprzymierzeniec ma on prawo tak ważnego objawu, jakim jest odśrodkowy ruch niemiecki, dotknąć, bo ruch ten nietylko osłabia Austryę wewnętrznie, nietylko rozluźnia jedność polityczną całej monarchii austro-węgierskiej, ale przyćmiewa jej urok, uszczupla jej dzielność, a przez to osłabia ją i na zewnątrz. Jeżeli Bismarck przed laty mógł powiedzieć o Austryi sprzymierzonej z Niemcami: „*Kein zuverlassiger Bundesgenosse,*“ o ileż większe miałby prawo teraz namyślić się nad tem: zali sprzymierzeniec ten wogóle przedstawia dla niego jakąkolwiek wartość i czy nie lepiej, zamiast ściskać — rąbnąć?

Śmiertelną krzywdę wyrządził Austryi ten opór przeciwko rozporządzeniom językowym: stał się buntem przeciwko prawu jej życia, przeciwko życiu samemu. Odpowiedzialność za krzywdę tem sroższą będzie przed historyą, że rozwiązanie ostateczne, jeśli nie ma być rozwiązaniem samej Austryi, padnie na stronę tej myśli politycznej, która rozporządzenia owe z siebie wydała. Przyszłość całej monarchii ocalić i zabezpieczyć może tylko rozum stanu, idący za głosem adresu sejmu lwowskiego, najznakomitszego w Austryi aktu zbiorowego urzędowego od ćwierci wieku, od zduszenia rodzącego się federalizmu przez bezpośrednie wybory do Rady państwa' w kwietniu 1873 roku. I w samych Czechach, jeżeli kiedykolwiek przyjdzie do rzeczywistego uspokojenia, jakie może dać tylko z naturą żywiołową zbiorowego człowieka zgodny porządek, znaleźć je zdoła bojująca myśl austryacka tylko w tym kierunku, w którym biegł ministeryalny rozsądek p. Badeniego, gdy z siebie rozporządzenia wydawał. Nie podział terytoryalny i nie układy w Wiedniu, ale zespolenie przez wzajemność i załatwienie całej sprawy na gruncie może przynieść jakiś błysk jaśniejszy. Tak się już za łby wzięto, tak się już do walki zaprawiono, że zaprzestanie jej bez zewnętrznego jakiegoś wpływu, bez siły wyższej, któraby rozdzieliła walczących — jest niepodobnem. Owszem, dla Słowian przedlitawskich adres sejmu galicyjskiego powinien być wezwaniem do wejścia na drogę jawnych, zbiorowych usiłowań, z jawnym a silnie, po męzku podjętym celem — nadania Austryi budowy federalistycznej.

Tydzień polityczny. Niemcy czescy odmówili udziału swego w komisyi Buquoy, nie chcą się godzić w Pradze, nie zgodzą się i w Wiedniu, dopóki rząd nie odwoła rozporządzeń z kwietnia 1897 r. P. Gautsch myśli istotnie o odwołaniu: uznaje niemiecką zasadę terytoryalności i dzieli hetmaństwa w Czechach na niemieckie, czeskie, niemiecko-czeskie i czesko niemieckie. Za językiem pójdzie i żądza polityczna: gdzie niemczyzna górą, tam i Niemiec — panem. Czechy poćwiertowane do przyszłego federalizmu jako całostka już nie wejdą, a ich korona św. Wacława będzie musiała nabrać w tem rozćwiertowaniu—muzealnej wartości. Ulicznikowskie rozruchy w sejmie, uliczne zaburzenia w mieście ustały. Młodsze pokolenie Niemców podejmuje teraz sprawę publiczną na swe barki: bezrobocie szkolne uchwalone na wiecu d. 29 z. m w Litomierzycach, ogarnia już, prócz Pragi, Wiedeń, Innspruck, Hradec. Stosunkowo spokojnie jest w Bernie morawskiem i w samej Morawii.

Nader wybitnego aktu dokonał sejm lwowski, zasiadający od 28 grudnia r. z. z przerwami świątecznemi ruskiego kalendarza. W miesiąc po zebraniu się uchwalił adres do cesarza o trzech głównych punktach: dążność do uspokojenia, konieczność rozszerzenia autonomii krajów koronnych i potrzeba powrotu do delegacyj sejmowych, w r. 1873 zastąpionych przez centralistyczną radę państwa. Po słowach powinny pójść czyny: na politykach galicyjskich w sejmie i w radzie ciąży obowiązek stopienia ludności słowiańskich w jedną masę żywą, którąby ogromem swoim i siłą wybiła Niemcom z głowy marzenia o hegemonii i gorsze jeszcze od nich tęsknoty do wielkiej ojczyzny niemieckiej, a zamiast *Wacht am Rhein* nauczyła ich śpiewać *Wacht an der Donau*

Proces Zoli rozpocznie się 7-go b. b. przed sądem przysięgłych. Dzienniki podają już liczby obywateli w pojedynczych warstwach społecznych, z których wyjdą sędziowie Rząd trzyma się, jak pijany płota, nietykalności władzy wojskowej, wyższości jej nad wszelkie posądzenia, i odpowiednio też oficerów świadczyć mających ponakręcał. Przeciwnicy odpowiadają domniemaniami, że ministeryum wojskowości obawia się światła drajfusowskiego, aby przypadkiem nie zapalono od niego pochodni, zdolnej oświetlić wnętrza magazynów, arsenałów, śpichrzów, kas i ksiąg rachunkowych. Potrzebę tajemniczości uzasadniają rządowcy i anti-zoliści dawnem jeszcze w r. 1894 zachowaniem się hr. Münstera, który wcale o Niemcach wspomnieć podczas sądzenia Dreyfussa nie pozwalał, a nawet groził wyjazdem. Wszystko to nie pokrywa nędzy całego oporu przeciwko rewizyi: rzuca na nią tylko łachman, nagość lepiej uwydatniający. D. 31 stycznia i 1 lutego Lockroy od lat wielu sprawozdawca specyalny, niegdyś minister marynarki, miał o niej przy budżecie mowę otrzeźwiającą, przynajmniej z wielkości na morzu. Oto okręty francuskie są niemrawe, poruszają się wolno, uruchomiają jeszcze wolniej; kotły mają haniebne; nie wszystkie posiadają działa dziś już niezbędne; zbyt ich jest mało, a kosztują wiele; w razie wojny Niemcy mogłyby 15 okrętów wysłać na La Manche. Ta groźba sprawiła wrażenie. Wogóle zbrojność, lądowa czy morska, jest obowiązkiem najlepiej przez Francuzów pojmowanym i najlepiej też spełnianym. Świeża nauka nie pójdzie w las.

Na dalekim Wschodzie wpływ Rosyi i porozumienie się jej z Prusami występują coraz wyraźniej. Chiński Tsung li Jamen rozpoławia pożyczkę 16-milionową, jedną połowę daje Rosyi, drugą Anglii.

Curzon i Chamberlain dorzucili nowe klejnoty do skarbca feryjnego krasomówstwa ministeryalnego. Strasznie to wszystko czcze a nadęte.

Sułtan wkłada całą swą energię i mądrość w opór przeciwko kandydaturze ks. Jerzego na gen.-gubernatora Krety, popieranej przez Rosyę.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁY BUDOWLANE.

Do wszystkich większych miast naszych płyną z każdym rokiem coraz szersze fale ludności wiejskiej, zwłaszcza zaś ogniska przemysłowe i handlowe rosną gwałtownie i wchłaniają najrozmaitsze masy napływowe. Są to warunki wielce przyjazne dla rozwoju spekulacyi i wszelkiej fuszerki, które szczególnie w zakresie budownictwa stały się wprost klęską społeczną. Domy mieszkalne i różne budowle wyrastają szybko i gorączkowo z lichego materyału, przy pomocy lichych kierowników i majstrów. Hamulcem spekulacyi do pewnego stopnia byłyby środki administracyjne, dozór techniczny, tudzież próby mechaniczne materyału. Ale tutaj bezwiednym i silnym sprzymierzeńcem oszustwa jest armia ludzi niefachowych, niezdolnych, którzy pracują przy budowie domów. Temu już nie potrafi zapobiedz ani nacisk prawny i administracyjny, ani dozór techniczny, ani próby mechaniczne. Zaradzić do pewnego stopnia w tym względzie może tylko rzesza ludzi należycie przygotowanych do zawodu.

Dotychczas jednak, pomimo gwałtownej i istotnej potrzeby, nie mamy nietylko szkół wielu, ale chociażby jednej specyalnej w kraju. To też ważne mają znaczenie zabiegi w sprawie utworzenia oddziału budowlanego przy szkole inż. Mittego w Warszawie. Przed kilku tygo-

38)

W. DOROSZEWICZ

SACHALIN.

Niedola Matwieja *).

Szedłem z nadzorcą przez podwórze więzienne. Było to nad wieczorem. Więźniowie wracali z roboty.

— Może pan życzy sobie zobaczyć hultaja? Chodź tu! Gdzie kapota? — zwrócił się do więźnia, który pomimo niepogody szedł bez kapoty — przegrałeś, hultaju? Przegrałeś, pytam?

Więzień milczący, ponury, spoglądał w bok.

— Żeby mi była kapota! Słyszysz? Skórę własną zedrzyj i uszyj, hultaju! Bić będę! W karcerze zgnijesz! Słyszałeś? Cóż milczysz? Czyś słyszał, jeszcze raz pytam?

— Słyszałem! — przytłumionym głosem odpowiedział więzień.

— A właśnie, „słyszałem!" Żeby mi była kapota! Ruszaj!

Nadzorca (były felczer roty), wielce zadowolony, że pokazał mi, jak umie aresztantom „zalewać za skórę," dodał:

— Z nimi inaczej nie można. Nietylko rzeczy skarbowe, ale ciało i duszę gotowi przepuścić, przegrać! Znam przecież katorgę wybornie! Jak własnych pięć palców. Każdego, jak odartego ze skóry, nawskroś przenikam!

Marnotrawca, gracz, istotnie skłonny do przegrania duszy i ciała, przegrywający swą porcyę często za pół roku z góry, nietylko odzież skarbową, jaką ma, ale i tę, którą otrzyma w przyszłości; przegrywający nawet własne miejsce na tapczanie, swoje życie, swoją przyszłość, człowiek, który zamienia imię swoje, na imię zbrodniarza większego, skazanego na chłostę, wieczną katorgę, turmę kajdanową — to typ bardzo dla mnie ciekawy. Nazajutrz podczas obiadu udałem się do więzienia już sam, bez nadzorcy i poprosiłem aresztantów, ażeby wezwali żądanego przestępcę.

— A do czego on ci, panie, jest potrzebny? — spytali zaciekawieni aresztanci, a między nimi i tacy, którzy obdarzali mię swoją sympatyą i ufnością.

— Ot, tak, chcę popatrzeć na zawziętego gracza.

Aresztanci zaśmieli się.

— Gracza!

— Panie! Oni opowiadają, a pan im wierzy. Alež on jak żyje kart nigdy nawet w rękach nie trzymał. A pan — „gracza."

— No, a kapota?

— Kapota?!

Aresztanci zaczęli szeptać. Usłyszałem między nimi przyciszone głosy moich znajomych:

— Nic nie szkodzi! Jemu można! On nie powie... Nie wyda!..

I opowiedzieli mi historyę tej kapoty „przegranej."

Okazało się, że ten „marnotrawca" jest cichym, skromnym „Matwiejem," wiecznie oddanym pracy, niewypoczywającym ani na chwilę.

Przed dwoma dniami siedział na tapczanie i, jak zwykle, coś szył. Naraz zjawił się „Iwan" z innego oddziału („numeru," jak mówią aresztanci).

*) „Matwiejem" nazywa się na katordze człowiek gospodarny. Nie karciarz, nie pijak, nie złodziej, nie szachraj, ale najczęściej więzień cichy, spokojny, pracowity, łagodny. Przytaczam te dwa opowiadania, jako charakterystykę „czynów bohaterskich" Iwanów.

dniami, dzięki wnioskowi p. S. Rotwanda, stworzono komisyę w celu opracowania programu owego oddziału. W skład jej weszli pp. Boguski, Goldberg, Drzewiecki, Michalikowski i Okolski. Nadto zaproszono do wspólnej pracy kilku techników miejscowych. Ostatecznego rezultatu obrad jeszcze nie mamy; ale już sam fakt pracy w tym zakresie jest początkiem dzieła i to na czasie, gdyż w końcu bieżącego miesiąca odbędzie się w Petersburgu zjazd dyrektorów średnich szkół technicznych celem przeprowadzenia zmian w normalnej ustawie owych zakładów.

Należy z tej sposobności skorzystać i starać się nietylko o oddział budownictwa przy szkole Mittego, lecz nadto o osobny zakład naukowy w tym zakresie. Sądzę, że należałoby przed rozpoczęciem starań formalnych zbadać istotne potrzeby kraju, obliczyć, ilu mu brak fachowców, nietylko budowniczych i ich zastępców, lecz majstrów, dekoratorów i nawet zwyczajnych robotników. Takie dane byłyby najskuteczniejszym środkiem poparcia naszych potrzeb w tej mierze.

Pierwotnie członkowie komisyi powyższej zgodzili się w większości, iż pożądana jest przedewszystkiem szkoła średnia techniczno-budowlana, z kierunkiem przeważnie architektonicznym. Taki wszakże zakład nie odpowiadałby w zupełności potrzebom istotnym. Wybór typu właściwego może ułatwić doświadczona zagranica, która posiada wyborne wzory. Głównie są nam potrzebni przędsiębiorcy budowlani i majstrowie, nie jako twórcy, lecz wykonawcy powierzonej pracy. Otóż tego rodzaju fachowców w Niemczech przysposabiają szkoły średnie (*Baugewerkschule*), a w Austryi wyższe szkoły przemysłowe. W obu tych państwach technika budowlana stoi bardzo wysoko, dzięki właśnie dostatecznej liczbie uzdolnionych pracowników, którzy otrzymali wykształcenie w zakładach powyższych.

Nie czekając, aż nasza komisya zbierze i opracuje odpowiedni materyał zagraniczny, ażeby inicyatorom w tej mierze dać wskazówki, zajrzyjmy tam sami i zobaczmy, jak Niemcy poważnie w praktyce traktują naukę budownictwa. Podczas gdy my się staramy o oddział budowlany przy *jednej* tylko szkole na potrzeby całego Królestwa, w Niemczech oprócz oddziałów takich istnieją na każdym kroku osobne zakłady tego rodzaju. W Nienburgu nad Wezorą jest szkoła wyłącznie przez rząd utrzymywana. Prócz tego utrzymywane wspólnie, kosztem rządu i miast, są szkoły: we Wrocławiu, Eckernförde (Szlezwig-Holsztyn), Höxter (Westfalia), Idstein (Hessen Nassau), Deutsch Krone (Prusy Zachodnie), w Berlinie, Buxtehude (Hanowerskie), Magdeburgu i Poznaniu. Wszystkie pozostają pod ścisłą kontrolą rządową, a liczba uczniów tak jest uregulowaną, żeby nauczyciel na każdego mógł zwracać dostateczną uwagę. W Saksonii istnieją rządowe *Baugewerkschulen:* w Dreznie, Lipsku, Chemnitz, Plauen, Zittau, nadto oddział budowlany wyższej szkoły przemysłowej w Chemnitz. W Bawaryi szkoły budowlane stanowią oddziały szkół przemysłowych i realnych. W Niemczech północnych średnie szkoły budowlane istnieją w Hamburgu, Holzminden (Brunświk), w Oldenburgu wielkoksiążęcym istnieje wielce uczęszczana szkoła architekta Diessnera, jako przedsiębiorstwo prywatne. Z Buxtehude do Strelitz przeniesiono taką szkołę prywatną, należącą do architekta Hittenkofera. Niemcy środkowe posiadają średnie szkoły budowlane: w Koburgu, Gotha, Darmsztadzie, Roda i Sulza, wspierane przez rady i władze miejskie; w Weimarze i Zerbst, utrzymywane wspólnie przez rząd i miasto. W Hildburghausen (Sachsen Weimar) istnieje technikum, wspierane przez rząd. Wreszcie w Gera także technikum, jako przedsiębiorstwo prywatne.

Oto długa a jeszcze niezupełna lista szkół budowlanych w Niemczech. Już ta obfitość świadczy wymownie, jak rzetelnie traktowane tam jest budownictwo; źródła zaś utrzymywania tych zakładów dowodzą, że nietylko rząd i miasta dbają o odpowiednią liczbę fachowców-wykonawców, ale i przedsiębiorcy prywatni, którzy zakładając i utrzymując szkoły budowlane, uważają to, całkiem słusznie, za bardzo dobry interes własny.

Zobaczmy teraz, jaki jest zakres tych szkół i jakiego rodzaju fachowców one dostarczają.

Program semestrów specyalnych szkół budowlanych obejmuje: geometryę wykreślną z zastosowaniami, miernictwo i niwelacyę z ćwiczeniami w polu, naukę o materyałach budowlanych, budownictwo, naukę o formach architektonicznych, budownictwo wiejskie, ogrzewanie, oświetlanie, wentylacyę, elektryczność, wodociągi i kanalizacyę, układanie kosztorysów, analizę cen, prowadzenie fabryk budowlanych, prawa i przepisy policyjne, dotyczące prowadzenia i zabezpieczania budowli od ognia, sposoby i przyrządy do gaszenia ognia, budowę dróg i mostów, służbę przy kolejach żelaznych w zakresie zajęć dozorców drogowych, rysowanie i modelowanie ornamentów, zdejmowanie szkiców z budowli wiejskich i miejskich. Nieobowiązkowo wykładane są: ogólne wiadomości z technologii, hydraulika i hygiena.

W Niemczech istnieje stowarzyszenie techników, które nietylko dba o to, ażeby wychowańcy szkół mieli byt zapewniony, ale stara się o udoskonalenie tych szkół, nadto wydaje książeczki ze wskazówkami dla techników budowlanych. Specyalista taki jest to: pomocnik budowniczego, inżeniera lub przedsiębiorcy budowlanego, konduktor robót, rysownik lub rachmistrz w biurze, dochodzący nieraz do stanowiska budowniczego prywatnego lub inżeniera cywilnego. Według wskazówek Towarzystwa, kandydat na technika budowlanego powinien zacząć swe studya od praktyki w którymkolwiek z rzemiosł budowlanych. Za najodpowiedniejsze w tym celu stowarzyszenie uważa: malarstwo, ciesielstwo lub kamieniarstwo, nie dając

---

— Słuchaj — zawołał do Matwieja — wzywają mię po coś do kancelaryi. Kapotę sprzedałem. Pozwól swoją włożyć. Słyszysz? Dawaj! Bo inspektor zobaczy bez kapoty i do „suszylki“ zamknie*).

Gdyby „Matwiejowi“ powiedziano, że *jego* posadzą do „suszylki,“ nie pobladłby tak, jak wtedy.

Jeżeli nie da kapoty, posadzą „Iwana.“ Za to zwykle „nakrywają ciemną,“ tj. narzucają człowiekowi na głowę kapotę, żeby nie widział, kto go okłada i bije tak, jak umieją bić tylko aresztanci: kolanami gniotą plecy; znaków niema, ale człowiek w ten sposób pobity, całe życie pamięta.

Trzeba było się rozstać z kapotą.

„Iwan“ naturalnie do żadnej kancelaryi nie chodził, nikt go nie wzywał. Poszedł do innego „numeru“ i tam przegrał kapotę w sztosa.

Nikt się nie ujął za biednym „Matwiejem,“ pozbawionym ostatniego majątku, za który będzie musiał zapłacić własną skórą. Nikt się nie ujął, „bo z „Iwanami“ trudna sprawa...“

Podczas tego opowiadania przyprowadzono „Matwieja.“

— No, bratku, gdzież kapota?

„Matwiej“ milczał.

— Nie bój się! Pan wszystko już wie. Nic ci złego nie będzie! — mówili mu więźniowie.

Ale „Matwiej“ ponury ciągle milczał.

Na katordze niczemu wierzyć nie można.

O wszystkiem trzeba się przekonać osobiście.

Przyjrzałem się „Matwiejowi.“ Na ubraniu najmniejszej dziurki nie było; wszystko zaszyte, załatane.

Zapytałem o miejsce jego, poszedłem, zajrzałem do kuferka. Kuferek prawdziwego „Matwieja.“ Jest tam i igła, i kłębek nici, i kawałeczek sukna: — „może się przyda na łatkę“; i skrawek skóry zbutwiałej, znalezionej na drodze, i strzępek powroza:—„potrzeba będzie coś związać.“ Słowem, typowy kuferek nie marnotrawcy, nie gracza, lecz skromnego, gospodarnego, oszczędnego aresztanta.

— Za ile kapota zastawiona?

— Za sześćdziesiąt pięć kopiejek. Do piania kurów*) zastawiono.

Teraz już zaczęła się trzecia doba. Trzydzieści kopiejek procentu urosło.

Dałem „Matwiejowi“ rubla.

Trzeba było go widzieć.

Nawet się nie ucieszył. Po prostu skamieniał. Na twarzy wystąpiło zdumienie, prawie przestrach.

Postał przez chwilę w milczeniu, z papierkiem w ręku, poczem rzucił się z izby przed siebie, z towarzyszeniem wesołego śmiechu obecnych więźniów.

Spotykałem go potem niejednokrotnie. Zawsze, czy to słota, czy pogoda, był w kapocie. Zdaje się, spał nawet w niej.

Za każdym razem, gdy mię zobaczył, zdaleka już zdejmował czapkę i uśmiechał się od ucha do ucha, a na moje pytanie: „cóż, jak tam kapota?“ tylko odpowiadał śmiechem i machaniem ręki.

W trzy dni po wykupieniu, spotkałem go idąc z nadzorcą:

— Aha, znalazła się kapota!

„Matwiej“ milczał.

Nadzorca tryumfował:

— Widzi pan. Zagroziłem — i znalazła się! Trzeba tylko umieć z nimi postępować. Ja, mój panie, katorgę znam! Sami oni siebie tak nie znają, jak ja ich, niegodziwców.

Nie starałem się poczciwca wyprowadzać z błędu. Po co?

*) [illegible]

*) Zastawić do piania kurów — zastawić do rana.

pierwszeństwa żadnemu z tych rzemiosł, główny zaś nacisk kładzie na to, ażeby kandydat na technika pracował w obranem rzemiośle, jak każdy inny uczeń lub czeladnik na placu budowy i nie uważał się, ani też nie był uważany przez innych za coś lepszego lub wyższego. Pożądanem jest, ażeby majstrowie i podmajstrowie zwracali uwagę na praktykanta i używali go kolejno do wszystkich robót. Gdy zaś on sam nie będzie się lenił i przeczyta wieczorem jeszcze w jakim przystępnym podręczniku o tem, co robił lub widział w ciągu dnia, korzyść będzie tem większa. Praktyka powinna trwać najmniej trzy półrocza letnie. Pierwsze zimowe niech praktykant spędzi w biurze majstra, przedsiębiorcy itd., gdzie robiąc kalki i przepisując kosztorysy, może poznać stronę wewnętrzną interesu budowlanego. Dopiero po nabraniu dostatecznej wprawy w robotach rysunkowych i piśmiennych, z pożytkiem wejść może do szkoły specyalnej. Pilny i sumienny dopnie tego już w drugiem półroczu zimowem. Jeżeli jednak nie posiada jeszcze dostatecznej wprawy w robotach biurowych, niech zostanie w biurze na drugie półrocze zimowe *).

Tak Niemcy traktują budownictwo. Warto, ażeby nasi inicyatorowie zwrócili baczną uwagę na te wszystkie szczegóły, bo jak widzimy, założenie szkoły nie wystarcza. Trzeba pracować usilnie i bardzo szeroko jeszcze po za szkołą, ażeby wytworzyć prawdziwie zdolnych i pożytecznych techników budowlanych. U nas zadania tego wybornie mogłaby się podjąć sekcya techniczna Towarzystwa przemysłu i handlu.

Kończąc te uwagi, nie możemy się powstrzymać od zdziwienia, że śród członków komisyi, pracującej nad programem nauki budownictwa u nas, nie znaleźliśmy p. Feliksa Kucharzewskiego, który przecież, jako wyborny znawca szkolnictwa fachowego, mógłby niejednej pożytecznej wskazówki dostarczyć.

*) Feliks Kucharzewski: „Szkoła techniczna średnia.“ Warszawa, 1894.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Kazanie p. Józefa Kościelskiego—„niemądre,“ „niepolskie“ i „zdrożne.“—Akompaniament niemieckiej prasy liberalnej do śpiewki p. Kościelskiego, czyli germanizacya za pomocą środków łagodnych. — Towarzystwo pomocy naukowej dla młodzieży męzkiej Prus Zachodnich. — Prasa polska. —Wystawa.

Narady w Izbie poselskiej pruskiej już się skończyły, a ich wyniki rozbiegły się po świecie w telegramach i korespondencyach. Po przejściu gorączki rozpoczęły się rozumowania i morały. Do najcharakterystyczniejszych należą rozmyślania członka pruskiej Izby panów, p. Józefa Kościelskiego, umieszczone w *Dzienniku Poznańskim* z d. 23 stycznia. Tu się ten pan odsłonił wybornie, z całą swoją duszą i polityką. Wypowiada on „prawdę, która boli.“ Istotnie boli taka „prawda“! Przedewszystkiem rezolucyę, powziętą na wiecu wyborczym w Poznaniu d. 12 stycznia, uważa za „niemądrą i niepolską.“ Domagała się ona, ażeby Koło polskie odrzuciło żądany kredyt na marynarkę niemiecką. „To niemądre— brzmi nagana p. Kościelskiego — bo wiadomo, że handel zamorski Niemiec wzrósł olbrzymio, zwiększa się ciągle i przynosi państwu znaczne zyski. Państwo słusznie troszczy się o to źródło dochodu i kosztów na to nie szczędzi. Tak zrobiłby każdy prywatny przedsiębiorca (i p. Kościelski zapewne—*przyp. koresp.*). Nakład ten idzie na korzyść wszystkich mieszkańców państwa, a więc sprzeciwiać się temu mogliby tylko współzawodnicy handlu niemieckiego. Można się spierać tylko o wysokość owych nakładów, a zatem i kredytu; ale to już rzeczy obrachunku, podlegającego rozstrzygnięciu obrad komisyi. Gdy to czynią przed obradami ludzie nieświadomi rzeczy, można ich krok, zdaniem p. K., nazwać niemądrym.

Nadto, rezolucya poznańska jest „niepolska,“ gdyż grzeszy przeciw duchowi narodu.“ Żąda ona odmówienia kredytu na marynarkę, bez należytego zbadania potrzeby, tj. nie dlatego, iżby nakłady te były niepotrzebne, lecz że ich żąda strona przeciwna. Odmowa zasłania się pozorem, że nie stać na to społeczeństwa. Według p. K., jest ono dostatecznie zamożne, aby ten ciężar ponieść lekko.

Autor zaleca narodowi szanować wszystkie prawa przyrodzone przeciwników. Ponieważ na tych „prawach przyrodzonych“ wyrósł i hakatyzm, więc p. Kościelski powinien pod jego nóż rzeźniczy poprowadzić stado, którego usiłuje być pasterzem.

Co do podatków, stara się przekonać społeczeństwo, że bynajmniej nie ponosi ono takich ciężarów, jakie sobie wyobraża (chyba w stosunku do dochodów p. Kościelskiego — *przyp. koresp.*). Że ten argument jest tylko używany „do otumaniania maluczkich i ciemnych.“ „Kto krótko lub niejasno widzi, ten na taki fałszywy argument łacno usidlić się da i sądząc, że jedynie kieszeni broni, zbrodnię wobec narodu popełnia. Bo ty nie na tym trojaku, który i tak uronisz, oprzesz życie narodu, ale na niewzruszonem trwaniu przy prawdach jego. Bo trojak ten wspólny wszystkim jest, a prawda twoja twoją jest, a im więcej przeczenia tej prawdzie, tem silniejsze ty dawaj jej świadectwo. Bo ani ten trojak, ani czapka rogata nie sprawia, że innym jesteś, ale duch to sprawia, więc pytaj ducha, zali na dobrej drodze.“ Takiem kazaniem p. Kościelski usiłuje zdobyć sztandar apostolstwa.

Krytykując rezolucyę poznańską, nazywa ją „zdrożną“ za „niesforność, prywatę i zawiść,“ tj. wszystkie grzechy, które „sprowadziły upadek.“ Na szczęście obecnie, jak pociesza naród p. Kościelski, upadek jeszcze nie grozi; bo „w dzisiejszym ruchu ludowym niema dotąd ani ludu, ani nawet mieszczaństwa.“ Te żywioły, gdy się odezwą, to inaczej: pójdą do pracy zgodnie z duchem narodu, drogą prostą i szlachetną, „bez naleciałości zakaźnych.“

Dalej członek pruskiej Izby panów usiłuje dowieść, że w narodzie naszym nie było nigdy granic nieprzebytych między warstwami społecznemi. Szlachty feodalnej nie mieliśmy, siedziała ona w otwartym obozie. Była raczej obywatelstwem, posiadającem; to, co u Rzymian *civitas*. Przez związki małżeńskie szlachta wchodziła w stosunki rodzinne z innemi warstwami. Obecnie wszystkie zrównały się i przez to wiele żywiołu szlacheckiego weszło między innych, co w tych ostatnich uświadomienie podniosło. Lecz niestety,

---

Bezterminowy „doświadczeniec“ Głowacki *).

Liczy 47 lat, a już jest uznany za niezdolnego do żadnej pracy.

Zbity, pokaleczony, wpędzony w suchoty, skazany na dożywotni pobyt w „kajdanowej“ — to chyba człowiek najnieszczęśliwszy na świecie.

Idąc spać nie wie, czy wstanie jutro, czy go więźniowie w nocy nie uduszą. Ani na chwilę nie może się rozstać z nożem. Bezustannie musi drżeć o to życie nieszczęśliwe.

Na głowę tego człowieka spadło tak dużo cierpień niezasłużonych, niesprawiedliwości, tyle fałszu, że doprawdy możnaby uwierzyć jego zapewnieniom, iż jest zesłany na Sachalin „niewinnie.“

Mikołaj Głowacki, mieszczanin gub. Kijowskiej, m. Zwinogródki, skazany był na katorgę bezterminową za to, że powiesił swoją żonę.

Skończył kurs szkoły powiatowej. Z zawodu rymarz. Roku 1876 ożenił się, a 1877 poszedł do wojska. Wróciwszy po pięciu latach, już nie poznał swojej żony. Przez ten czas zdołała ona „zbałamucić się,“ zmieniała przyjaciół i nie pragnęła spokojnego życia rodzinnego. Głowacki zaś kochał ją. Znalazł sobie miejsce w majątku hr. Dzielińskiej (?) *) na Wołyniu i zawiózł tam żonę, myśląc, że zdala od pokus poprawi się, będzie uczciwą kobietą. Ale ona uciekła. Głowacki dopędził ją i nad wieczorem przywiózł do domu. Była to burzliwa i ciężka noc. Według słów jego, pojmana w jakiemś była odrętwieniu, krzyczała:

— Tyś dla mnie wstrętny. Rozumiesz? — wstrętny! Nic okrom wstrętu, nie czuję dla ciebie. Tyś obrzydliwy dla mnie, jak żaba. Wolałabym stryczek, niż być twoją żoną!

Podnosiła przed nim zalety swoich przyjaciół. Opowiadała rzeczy, od których Głowackiemu w głowie się mąciło. Prosił, błagał, ażeby się opamiętała; przyszła do rozumu, płakał, groził i nareszcie zmęczony, nad ranem zasnął.

— Ale nagle zbudziłem się — opowiada — jakby mię coś trąciło. Patrzę — żony niema. Zapaliłem latarkę, wybiegłem, ażeby dopędzić, patrzę, a ona koło domu, na gałęzi. Powiesiła się!

Ze strachu, jak utrzymuje, nie pamiętał, co robił. Nikt nie widział, jak wieczorem przywiózł żonę. Wiedziano tylko, że ona uciekła. Głowacki postanowił ukryć ten straszny wypadek.

— Dlaczego, sam nie wiem.

Zdjął trupa z drzewa, włożył do worka, przeniósł przez ogród i wrzucił do rzeki.

Po kilku dniach prąd przybił ciało w worku gdzieś niżej do brzegu. Głowacki na wszelkie pytania odpowiadał:

— Nic nie wiem!

Znaki od powrozu na szyi dały powód do naszkicowania tragedyi. Głowackiego skazano na bezterminową katorgę za to, że tajemnie przywiózłszy żonę do domu, powiesił; żeby zaś ukryć ślady zbrodni, chciał utopić ciało w rzece.

Przypuśćmy, że winien. Nie wierzmy jego opowiadaniu. Bo wszakże wszyscy oni mówią, że cierpią niewinnie. Tajemnicę swojej śmierci zabrała z sobą nieboszczka Głowacka. Po czyjej stronie prawda: sądu, czy skazańca — niepodobna rozstrzygnąć. Ale oto następne fakty, których świadkowie żyją:

Na Sachalin Głowacki przybył r. 1888. Jako katorżnik bezterminowy, był za-

*) Gdyby kto zapragnął zwrócić uwagę na dolę tego męczennika, to wszystkie podane fakty mogą być stwierdzone urzędowymi dokumentami, świadectwami byłego nadzorcy więzienia aleksandrowskiego, p. Knechta, dr. Lobasa i słowami więźniów.

*) Zapewne Działyńskiej. (*Przyp. tłom.*).

wzdycha p. K., nie najlepsze siły mieszały się z sobą. Szlachta, upadająca z własnej winy, schodziła do mieszczan i tam szukała oparcia, tam przenosiła swoje przywary. Dobro, serdeczność bratnia, poświęcenie, rzadko zstępowały. Wniesiono tam nie szlachectwo, lecz szlachetczyznę. I oto „młodsza“ warstwa zaczyna żyć tym grzechem, który starszą zgubił. Wychodząc z takiego stanowiska, p. K. utrzymuje, że co dziś zwie się ruchem ludowym, to nim nie jest. Są to raczej „epigonowie pierwiastków,“ które się najbardziej przyczyniły do upadku. Tam, w tych „samozwańcach“ tkwi zarodek choroby śmiertelnej. „To apostołowie rozkładu, pod maską pracy dla ludu ukrywający nizkie swe poglądy.“

Taką dyagnozę cierpień narodu postawił ten znachor śmiały, dumny i wielce pewny siebie. „Nie każdemu danem jest poznać podstawowe cechy ducha narodowego.“ P. Kościelski sądzi, że to jest dane jemu. Tymczasem w rzeczywistości widzi on cały naród w sobie i swojej karyerze. Wzmocnienie marynarki niemieckiej, rozwój potęgi germańskiej nietylko wewnątrz, lecz i zewnątrz, może być pożyteczne dla p. Kościelskiego, ale nie dla narodu polskiego i wogóle nie dla słowiańszczyzny.

Poglądom p. Kościelskiego zupełnie zgodnem pieniem wtóruje program liberalnej prasy niemieckiej. Oburza się ona na działalność hakatystów, na niehumanitarne prądy polityki, ale wcale nie potępia germanizacyi; przeciwnie — popiera ją żarliwie i różni się tylko tem od słowianożerców, że uznaje inne, racyonalniejsze i prędzej prowadzące do celu sposoby. Oto np. jak pisze *Börsen Courrier*: „Trzeba germanizować. Ale germanizacya, zdaniem naszem, nie powinna się opierać na funduszach stumilionowych i pięściach policyjnych, na ciągłej zmianie kursu, który to schlebia, to znowu bije, lecz jedynie na zadaniu cywilizacyjnem. Rozwińmy prawdziwie cywilizacyjną działalność, a wkrótce ustąpią wszelkie trudności.“ Następnie pismo podaje szereg środków praktycznych. Radzi np., żeby przez ułatwienia komunikacyjne zwiększono napływ Niemców, ich handlu, przemysłu i rolnictwa, żeby szkoły miejskie i wiejskie podniesiono wyżej tudzież rozwinięto szkolnictwo zawodowe, zakładano czytelnie ludowe. Przy tem wszystkiem należy w traktowaniu Polaków zaniechać zupełnie surowości, a natomiast wprowadzić łagodność i względność, obudzić w nich przekonania, że są równouprawnionymi obywatelami państwa, że nie będą prześladowane ani ich język, ani religia. Wszelka bowiem szorstkość i brutalność pociąga za sobą zawsze złe następstwa: utrudnia, a nawet zupełnie przerywa proces zlania się narodowości polskiej z niemiecką.

Pomimo jednak tych środków łagodnych, pismo nie radzi ulegać „aspiracyom wielkopolskim.“ Trzeba zawsze pamiętać, że Poznańskie i Prusy Zachodnie należą prawnie do Prus. Dopóki Polacy nie sprzeniewierzają się obowiązkom dobrych obywateli państwa, tj. dopóki płacą podatki, służą w armii, przelewają krew za Niemców, póty powinni korzystać z równouprawnienia na każdym kroku. W polityce popełniono wiele błędów. Do najważniejszych zaś organ powyższy zalicza rozporządzenie ks. Bismarcka, dotyczące wydalania Polaków. „Rolnicy skarżyli się na nie, bo zabrano im tanią siłę roboczą, a liberalni potępić je musieli z powodów nierównie ważniejszych, tj., że stworzyły rozgoryczenie. Gwałt ten pod każdym względem wywołał następstwa fatalne. Potem chwycono się innej ostateczności — zaprowadzono rządy tak łagodne, że pod wpływem tego prądu powstał ów żartobliwy aforyzm: „Dawniej usiłowano obronić ojczyznę przed Polakami, a dziś — przez Polaków.“ Chociaż ta druga taktyka była właściwszą, należałoby jednak unikać zmian zbyt gwałtownych. Stała sprawiedliwość powinna być najlepszą zasadą.“

To, co powyżej wypowiada otwarcie *Börsen Courrier*, jest mniej więcej przekonaniem całej prasy liberalnej niemieckiej. Jeżeli sprytni hakatyści odciągają rząd od tej zasady, to jest oczywistem, że im nie chodzi bynajmniej o „wyższą politykę,“ lecz, jak to już kilkakrotnie zaznaczyliśmy, o własny trzos. Jest to brutalna walka ekonomiczna, rozbój i rabunek. Germanizacya łagodna byłaby tym bandom nie na rękę, bo nie mogłyby one bezkarnie i często maczać swych garści w kieszeni polskiej.

Przechodząc ze smutnych spraw bytu narodowego do bieżących potrzeb i zjawisk materyalnych i duchowych ludności, musimy przedewszystkiem nadmienić, że w r. b. przypada pięćdziesiąta rocznica istnienia „Towarzystwa pomocy naukowej“ dla młodzieży męzkiej Prus Zachodnich, najstarszej w tym zakresie instytucyi polskiej. Założyli ją w Chełmnie d. 30 października 1848 r. obywatele ziemscy: Mateusz Ślaski i Teodor Donimirski. Towarzystwo przechodziło różne, przeważnie bardzo smutne i ciężkie koleje. Pomimo jednak trudności i niepowodzeń, dało tysiącom młodzieży pomoc w nauce, ułatwiło ukończenie szkół. Mnóstwo z tej rzeszy zajęło różne stanowiska społeczne, z pożytkiem dla kraju.

Prusy Zachodnie, jak wiadomo, posiadają stosunkowo bardzo małą liczbę obywateli ziemskich, szlachty, co wycisnęło piętno na ruchu dziennikarskim. Prasa polska służy tam przeważnie potrzebom ludu, istnieje zaś już pół wieku (d. 2 lipca 1848 r. powstało pierwsze pismo polskie p. t. *Szkółka Narodowa*)! Obecnie w Toruniu wychodzą trzy pisma polskie: *Gazeta Toruńska*, *Gazeta Codzienna* i *Przyjaciel*. W Grudziądzu — *Gazeta Grudziądzka*, w Pelplinie — *Pielgrzym*, w Gdańsku — *Gazeta Gdańska*, w Olsztynie — *Gazeta Olsztyńska*. Wszystkie te pisma istnieją bez żadnych zapomóg, a istnienie to i żywotność ich trzeba podziwiać wobec ucisku i prześladowań nieustannych prokuratoryi, której lada błahostka wystarcza już do oskarżenia. Tak np. w ubiegłym roku *Gazeta Grudziądzka* miała — trudno dać wiary—aż sto terminów sądowych, a dziś jest pod grozą mnóstwa spraw karnych. Przy sposobności musimy zaznaczyć fakt, który dla przyszłego dziejopisa będzie przyczynkiem do historyi cywilizacyi dzisiejszej. W pewnej sprawie gazety powyższej powołano na świadka ucznia drukarskiego, ażeby odsłonił nazwisko autora artykułu potępionego przez prokuratoryę. Dzielny i szlachetny młodzieniec odparł, że chociaż wie, kto jest autorem, nie wyda go jednak, bo nie chce być łajdakiem. Po takiej odpowiedzi sąd postanowił użyć innego nacisku: nałożył 30 marek kary; ale i to nie poskutkowało. Chłopak za swą szlachetność poszedł do więzienia. Nawet pisma niemieckie przeraziły się tym skandalem, okrucieństwem stróżów „sprawiedliwości“ i zażądały zmiany ustaw.

Na zakończenie garstka szczegółów z życia bieżącego. D. 5 stycznia staraniem redakcyi *Katolika* zaczęło wychodzić w Bytomiu na Górnym Szląsku nowe codzienne pismo polskie p. t. *Dziennik Szląski*. Otworzył on jednocześnie bezpłatne biuro obrony prawnej dla swych czytelników.

Komitet, przygotowujący ósmy zjazd lekarzy i przyrodników polskich w Po-

---

mknięty w istniejącej jeszcze wówczas okropnej turmie „wojewódzkiej,“ o której sami inspektorowie mówią, że była „straszna.“ W ciągu pięciu lat Głowacki otrzymał przeszło 500 rózg, za to, że nie miał siły kończyć „lekcyj“ zadanych. Na próżno błagał o ulgi ówczesnego lekarza Dawydowa. Ten typowy „zsachaliniony“ doktór odpowiadał mu na to, co wszystkim i zawsze:

— Cóż ja ciebie w pokoju posadzę, czy co?

Za uciekanie się pod opiekę lekarza zaliczono go do „łodyrów“ i posyłano na najcięższe roboty, do wyciągania kłód z tajgi.

— Trzy razy za jedną kłodę bito. Nie mogłem jej za nic wyciągnąć, siły straciłem!

We wspomnieniach Głowackiego, jak wogóle we wspomnieniach wszystkich katorżników byłej turmy wojewódzkiej, nic nie słychać okrom świstu rózg i batów.

— Prowadzą, bywało, do Feldmanna, i tylko błagasz Boga, żeby dzieci jego w domu były. One, daj im, Panie, wszystko najlepsze, wszystkie rozkosze doczesne i niebieskie, nie dopuszczały go do bicia. Zatrzęsą się, pobledną i wołają: „ojczulku, nie rób tego, nie bij!“ Przykro mu było wobec nich, więc machnie tylko ręką. Cała katorga modliła się za nie do Boga.

Ale i to niewielką było ulgą.

— Co tam Feldmann! Starszym dozorcą był wówczas Starcew. Zdarzało się, że zanim do Feldmanna doprowadzi, obije śmiertelnie. Ledwie na nogach można się utrzymać!

Coraz cięższe było życie tego znękanego człowieka. W r. 1892 zupełnie już, jak mówią na Sachalinie, „wpadł pod koło losu.“

— Idę jakoś zamyślony, naraz słyszę wołanie: — „A ty czemu czapki nie zdejmiesz?“ Pan Dmitrjow! Zamyśliłem się i nie spostrzegłem, że on na ganku siedzi. „Dać mu sto!“

Dano mu jednak tylko 50. Po pięćdziesiątem uderzeniu zdjęto go z „kobyły“ bez czucia. Dwa dni przeleżał w „rewirze.“ Nie zdążył przyjść do siebie, gdy znowu bicie. Grano w karty nieopodal Głowackiego. Wtem wpadł pełniący obowiązki naczelnika okręgu, Szilkin. „Stremszczycy“ nie zdążyli uprzedzić; więźniów ogarnął popłoch. Nie było już czasu schować kart, wszyscy rzucili się na tapczany.

— Czyje to miejsce? — zapytał naczelnik.

— Głowackiego.

— Sto!

— Ależ ja nie grałem...

— Sto!

I Głowackiemu rzeczywiście, pomimo że wcale nie grał w karty, „wsypano“ sto. Tym razem wytrzymał całą setkę, ale potem nawet ówczesny lekarz sachaliński położył go na trzy dni w szpitalu i dał następnie cały tydzień wypoczynku.

— Tylko wyszedłem, idę, ledwie nogi włóczę — głos: Pan Szilkin przede mną. Jak Boga kocham, ze strachu zdało mi się, że on z pod ziemi wyrósł. Nie spostrzegłem, że nieopodal siedział. „A więc tak! Toś ty taki jeszcze zuchwały? Nie kłaniasz się? Pięćdziesiąt!“ Dano! Widzę, dusza już z ciałem się rozstaje. Śmierć nadchodzi niechybna.

(D. c. n.).

znaniu (12, 13 i 14 lipca r. b.), uchwalił urządzenie jednocześnie wystawy przyrodniczo-lekarskiej. Będzie ona miała oddziały następujące: I) Literatura przyrodnicza i lekarska z ostatnich lat 10. II) Hygiena: 1) ogrzewanie, 2) oświetlenie, 3) wentylacya, 4) wodociągi i kanalizacya, 5) łazienki, 6) dezynfekcya, 7) gimnastyka lecznicza itd., 8) odzież. III) Nauka lekarska: 1) anatomia, 2) fizyologia, 3) psychofizyologia, 4) patologia (ogólna i szczegółowa), 5) środki farmaceutyczne, 6) seroterapia i serodyagnostyka, organoterapia, 7) narzędzia chirurgiczne i ginekologia, okulistyka, laryngologia, dentystyka, 8) elektroterapia i elektrodyagnoza (Roentgen). IV) Środki spożywcze i odżywcze: 1) przetwory mięsne, 2) mleczne, 3) mączne, 4) konserwy, 5) napoje alkoholiczne, 6) napoje bez alkoholu. V) Balneologia: 1) wody mineralne, 2) sole, ługi, borowiny i zioła kąpielowe. VI) Bakteryologia (lekarska, rolniczo-przemysłowa). VII) Nauki przyrodnicze: 1) botanika, 2) zoologia i paleontologia, 3) mineralogia i geologia, 4) fizyka, 5) chemia. VIII) Antropologia i etnografia. Jak widzimy, program bardzo bogaty, obejmuje wszystkie najnowsze zdobycze nauk przyrodniczych i lekarskich.

et.

BIEDNE WŁOCHY!

Z Włoch dochodzą wieści o zaburzeniach głodowych. Od Sycylii do Medyolanu nędza i głód wypychają ludność na ulice i każą jej wołać: chleba! Ale nawet miejscowe pisma, włoskie, poświęcają tym objawom zaledwie krótkie wzmianki. Gdyby uwikłana była w nie jakaś kochanka Crispiego, jakaś siostrzenica Rudiniego, o, jak żywo pochwytywanoby zajścia!

Niestety orędowniczki owej sprawy, kuma Troska i ciotka Śmierć nie mają wabika dla dziennikarzy.

Zdaje mi się jednak, że odnośne wiadomości mogą zainteresować ludzi poważnych.

Zaburzenia zaczęły się dziesiątego stycznia we wnętrzu Sycylii. W Canicatti, mieście liczącem około dwudziestu tysięcy ludności, tłumy ludu, mężczyzn i kobiet, wyprawiły demonstracye, wołając: „Nie chcemy podatków! Precz z podatkami!"

Manifestujący wdarli się do magistratu i zabrali chorągiew. Obnosząc ją, przebiegli kilkanaście ulic, lecz policya przywróciła porządek.

Dla bliższego zrozumienia potrzeba wiedzieć, w jaki to miły sposób ściąga się podatki we Włoszech.

„Jedna z małych miejscowości sardyńskich — opowiada w niedawno wydanej książce podróżnik Botticher*) — położona wśród pinij, oliwek i palm, liczy około tysiąca mieszkańców. Według urzędowych ocen winna płacić 6,000 lirów podatku. Ale bieda w całym swym blasku króluje we wsi. Wypłacalność dobrych ludzi bardzo kuleje. Jakby to zrobić, aby uzyskać swe pieniądze?..

Więc państwo wynajmuje podatki temu, kto najwięcej zapłaci. Małe towarzystwo akcyjne, złożone z brudnych zdzierców i lichwiarzy, daje 7,500 lirów... Przepysznie! Pieniądze zgarnia się do kasy, a towarzystwo akcyjne otrzymuje pozwolenie ściągnięcia zapłaconej sumy.

Natychmiast spędza ono swych siepaczy i zaczyna systematyczny rabunek wsi. Kozy ze stajni, pościel z brudnych tapczanów, ostatnie graty, ostatnie odzienie wydziera się bez litości. Koszula ledwo zostanie na biednym chłopku, nie, mylę się, do kości go obiorą.

Rozumie się, że „akcyonaryusze" podwyższyli za procent sumę podatków. Cóż im zrobić? Procesować się? Na to potrzeba pieniędzy."

W tydzień potem wzięły sprawy o wiele groźniejszy obrót w Siculianie, przy Girgenti.

Włościanie tej miejscowości, pod naciskiem nędzy i głodu, zebrali się w tłum, zrabowali magistrat, a potem spalili go wśród okrzyków: Chcemy chleba i pracy! Żandarmi dali do nich ognia, jedna włościanka została zabitą.

Przyczyny są te same, co w roku 1893. Ruch ówczesny zgnieciono siłą zbrojną, ale nic nie zdziałano dla ulżenia niedoli Sycylijczykom. Obarczeni podatkami, bez pracy, pogrążeni w czarnej nędzy, nie obudzili oni w parlamencie rzymskim żadnego zajęcia. Wypracowano kilkanaście projektów w ich sprawie, wszystkie zostały na papierze. Nie dziw więc, że wobec tych samych przyczyn trwają te same skutki; ponowienie się dawnych zajść krwawych jest bardzo możebnem.

Pomyślmy np., że wszystkie winnice w Siculianie należą do jednego wielkiego właściciela, barona Aniello, który żyje w warownym zamku i nie wychodzi inaczej, jak w towarzystwie dwunastu „bravi," uzbrojonych po uszy. Baron ów traktyje swych włościan, jak feodał piętnastego stulecia.

Pewnego dnia jeden wieśniak z Siculiany kupił suszonego bobu u agenta barona i zauważywszy, że bób jest nadpsuty, ośmielił się pożalić na to. Usłyszawszy o tem, baron Aniello kazał schwytać zuchwalca, zamknął go w śpichrzu pełnym suszonego bobu i trzymał tam przez parę tygodni, każąc mu żywić się jedynie owym bobem!

Tegoż samego dnia, co w wiosce Aniella (jest on zarazem wójtem włości—widocznie wzorowym!), wszczęły się zbiegowiska w Marchii. Z Sycylii dalszych wiadomości niema, głosi się światu tylko o uroczystych obchodach pięćdziesiątej rocznicy tamtejszego powstania i objazdach z tej okazyi ministrów. Natomiast Ankona i okolice mąką uparcie podniosłe chwile.

„Podniesienie się cen chleba wywołało poważne zamieszki. Pracownicy z rafineryi cukru usiłowali wtargnąć w południe na plac magistratu, lecz ich rozproszono. Kilka osób aresztowano. Manifestujący zgromadzili się następnie za miastem: rozpędziła ich kawalerya. Część jednak osaczyła dom Sagliardiego, handlarza zbożem, spustoszyła go i próbowała zapalić. Wieczorem chcieli wejść do miasta nowi manifestanci w liczbie kilkuset, ale wszystkie bramy były zamknięte."

Nazajutrz układano barykady na przedmieściach, zniszczone zresztą wkrótce. Ruch rozszerzył się bardzo szybko. Dziewiętnastego stycznia wysłano wojsko przeciw kilkuset głodnym, „zajmującym groźne stanowisko" przy Torrette. W Maceracie odbyły się manifestacye, w Sinigalii tak samo. Tu pomyślna odpowiedź, dana przez magistrat, nie zadowoliła ludności. Wygłodzone kobiety udały się na dworzec, do magazynów należących do księcia Ruspolego i poczęły zbierać zboże i kukurydzę.

Wojsko przybyło z Fano przywróciło porządek.

Równie niepokojące wieści dochodzą od kilku dni z Florencyi i Medyolanu. We Florencyi wybito okna redakcyi *Fiera Mosca*, raniono jednego policyanta, wysłano delegacyę do burmistrza i przebieżono miasto z okrzykami podobnymi do sycylijskich.

Co będzie dalej? Rudini odparł interpelacyę senatora Camporelego tem, że zajścia bieżące są skutkiem „drożyzny wiktuałów, braku pracy wobec danej pory roku i oszczędności, jakie musiało państwo porobić w swym budżecie."

„Zresztą z czasem wypracuje się odpowiedni projekt."

„Z czasem." Jak smutnie brzmią te słowa w chwili, kiedy obchodzi się pamięć ruchów, którym zawdzięcza swe powstanie państwo Humberta *).

Biedne Włochy!

W. Bugiel.

*) *Von sonnigen Küsten.* Lipsk, 1895, str. 14—15.

UBEZPIECZENIA NA ŻYCIE

(kilka luźnych uwag)).

Gmina rolna, taka, jaką jest desa jawańska lub niekiedy obszczyna wielkoruska, w gruncie rzeczy przedstawia olbrzymią instytucyę ubezpieczenia wzajemnego. Niema tam chyba ani jednej strony życia, w której solidarność sąsiadów nie ujawniałaby się w ten lub inny sposób. Rodzice mogą być spokojni o los dzieci, bo każde z nich otrzyma, gdy dorośnie, szmat ziemi ornej wraz z prawem użytkowania z paśników i lasów. Jeżeli mężczyzna umiera, pozostawiając wdowę z nieletniem potomstwem, gromada spieszy im z sąsiedzką pomocą w uprawie gruntów. Ona to buduje dom nowożeńcom, dopomaga pogorzelcom itd. Człowiek nigdy nie stoi tam bezbronny i samotny wobec klęsk, chyba, że nieszczęście dotknie całą gminę.

Te przeszłe wzory okresu naturalistycznego przyszły nam na myśl przy czytaniu pracy d'Avenela o ubezpieczeniach **), zwłaszcza zaś jego hymnów na cześć tej instytucyi.

„Za naszych czasów — pisze autor — każdy przebija się przez życie, zbrojny tylko własną indywidualnością i świadom odosobnienia, w którem poruszają się w myśli, słowie i czynie biedne stworzenia ludzkie. A przecież ani to uczucie samotności, ani pesymizm naszej filozofii, ani gwałtowność różnic politycznych i społecznych nie przeszkodziły naszemu wiekowi, o którym wielu twierdzi, iż posiada nieczulsze serce, niż jego poprzednicy, powołać do życia i rozwinąć pewną formę poświęcenia rodzicielskiego, doskonalszą, aniżeli którakolwiek z istniejących dotychczas. W rzeczy samej, trzeba posiadać większą dozę bezinteresowności, ażeby opłacając sumę roczną, utworzyć dla naszych spadkobierców pewien mająteczek, z którego nie zobaczymy ani grosza, aniżeli dawniej powściągliwości, niezbędnej do zebrania w naszem ręku niewielkiej sumy, z której my sami mogliśmy użytkować, zanim przekazaliśmy ją potomkom.

„To altruistyczne gromadzenie majątku przybrało charakter zrzeszony. Atom po atomie, świat nowożytny dokonywa swego przekształcenia."

Mowa tutaj o ubezpieczeniu swojej osoby na pewną sumę, wypłacaną spadkobiercom umierającego, tj. o zbieraniu majątku dla kogoś innego. Urządzenie to przybiera znaczne rozmiary dopiero w drugiej połowie obecnego stulecia. Jeszcze w końcu zeszłego wieku uprzedzenia przeciw niemu były tak silne, iż pewien prawnik francuski, streszczając myśl swoich kolegów w r. 1783, wyrzekł, że „życie ludzkie nie powinno być przedmiotem handlu, ani śmierć — spekulacyi i wyrachowania." Zwyczaj ubezpieczania życia rozpowszechnił się zwłaszcza w W. Brytanii, która na 1,000 obywateli posiada 360 ubezpieczonych. We Francyi na ty-

*) Dla zaradzenia częściowo złemu król zniżył cło od zboża o 2 liry na centnarze. *Red.*

**) d'Avenel: *Le Mecanisme de la vie moderne*, serya II. Paryż.

się mieszkańców przypada tylko siedem osób, które postanowiły w ten sposób zapewnić byt dzieciom; Niemcy, Szwajcarya i kraje skandynawskie odznaczają się procentem ubezpieczonych dwa razy wyższym; Austrya, Belgia i Holandya — trzy razy. Zresztą suma przeciętna, na którą ubezpiecza się Anglik, jest stosunkowo nieznaczna: w t. z. towarzystwach zwyczajnych, liczących 1,200,000 członków, wynosi ona około 4,000 rubli, w przemysłowych zaledwie 100 rubli. W ciągu sześciolecia 1887—1893 liczba osób, ubezpieczonych na drobną kwotę, wzrosła z 9 milionów na 13. Te dane statystyczne wykazują, iż owe urządzenia rozwijają się—w jednych krajach wolniej, w innych szybciej. Ale nie odmawiając im znaczenia, nie powinniśmy iść za przykładem d'Avenela i podzielać jego zachwytów. Zaznaczyliśmy już, iż istniały okresy, gdy zasada ubezpieczenia, chociaż nie wygłoszona świadomie, rozleglej i głębiej przenikała stosunki ludzkie. Co więcej, nie było ani jednej doby dziejowej, w której rodzice nie dbaliby o zapewnienie bytu i mienia swoim potomkom, bo tylko przy istnieniu takiej zapobiegliwości możliwe jest istnienie samego społeczeństwa. Ale ubiegłe pokolenia wywiązywały się z tego zadania w inny sposób, przyczem nie uważały za stosowne układać hymnów na cześć swego postępowania. W gminie gromada oswobadzała jednostkę od wszelkiej troski w tej mierze i brała obowiązek na siebie, sprowadzając do najniższego poziomu *faux frais* społeczne.

Ubezpieczenie dzisiejsze, w wieku odosobnienia wzajemnego i tak zwanego indywidualizmu, gdy rozkładowe siły ogarnęły rodzinę i wzmocniły w jednostce instynkt zaspokojenia przedewszystkiem łaknień szczęścia osobistego, wygląda rzeczywiście na pewne zaparcie się. Ale posiada ono taki wygląd tylko wtedy, gdy badamy rzecz z psychologicznego punktu widzenia, ze stanowiska czującej jednostki. Socyologicznie, urządzenie to — zabezpieczenia bytu dzieci — zawsze istniało i dzisiejsza forma jego stanowi tylko jeden ze sposobów rozwiązywania zadania, zawsze obecnego w życiu gromadnem, mianowicie formę, właściwą okresowi dziejowemu, gdy zapanowała wolna konkurencya, gdy wszelka pomoc społeczna przestała istnieć i jednostka, o ile sama nie będzie dbała o własne potomstwo, wydaje je na pastwę niekiedy kompletnej nędzy.

Warto przyjrzeć się psychologii samego ubezpieczenia. Nie stanowi ono bynajmniej sprawy samorzutnej, dokonywanej przez jednostkę. To popierwsze. Powtóre zaś, zabezpieczenie bytu potomków bywa nietylko opłacane, ale wprost przepłacane.

Ubezpieczanie stało się zadaniem pewnych przedsiębiorstw akcyjnych, przynajmniej taka forma jest panującą. Tu i owdzie przeciwstawiono im instytucye, oparte na zrzeszeniu wzajemnem zainteresowanych, ale ta forma, którąby istotnie świadczyła o pewnym rozwoju samodzielności i samorzutności, w przewadze przypadków jest słabo rozwinięta, w porównaniu z innemi ubezpieczeniami, np. od gradobicia lub ognia. Towarzystwa akcyjne stawiają nadto jej rozwojowi możliwe zawady. Co do tego, d'Avenel przytacza bardzo ciekawe obrazki ze stosunków francuskich: W r. 1881 w Rouen powstał projekt założenia towarzystwa ubezpieczeń, opartego na zrzeszeniu zainteresowanych. Projektodawcy musieli czekać aż dwa lata, zanim rada ministeryalna zatwierdziła ustawę, przyczem rząd postawił warunki dziwne, np. że założonej instytucyi nie wolno opierać ubezpieczenia na niższych i dogodniejszych taryfach, niż istniejące w towarzystwach akcyjnych.

Możemy więc stanowczo powiedzieć, iż w dobie dzisiejszej sprawę zabezpieczenia bytu dzieci powierzono przedsiębiorcom prywatnym. Dobrobyt odpowiednich geszeftów akcyjnych zależy od ilości ubezpieczonych osób, co te przedsiębiorstwa osiągają przez zorganizowanie istotnej obławy na ojców, braci, małżonków. Reporter amerykański zdobył smutną sławę natręctwem swojem i gburowatością uczuć, ale mniemam, agenci towarzystw ubezpieczenia przewyższyli go. Ponieważ trzeba wydostawać kandydatów z wszelkich warstw społecznych, zarząd nikogo nie odrzuca, we Francyi posiada on agentów z pośród śmietanki arystokratycznej i świata prostytutek, jawnych i ukrytych, niekiedy nawet spełniających czynności raczej z amatorstwa, niż z potrzeby. „Instytucya ubezpieczenia, tak podniosła i tak piękna — pisze d'Avenel — nie może utrwalić się i zapuścić korzeni i korzonków w głębokie pokłady kraju, jeśli nie zechce posługiwać się mnóstwem środków i fortelów, niekiedy wcale niebudujących.“ Obława ta, za pośrednictwem której czasy nasze rozwiązują, a przynajmniej usiłują rozwiązać jedno z palących zagadnień swoich, jest bardzo kosztowną, przyczem wydatki w ostatecznym wyniku spadają na ubezpieczonych. Jest to rzecz zrozumiała najzupełniej: ani utrzymanie takiej sfory dojeżdżaczy nie może być tanie, ani towarzystwo akcyjne nie zrzeknie się części zysków, ażeby opłacać tę naganke. Agenci bywają wynagradzani w ten sposób, iż otrzymują pewną część pierwszej raty, którą przyprowadzona przez nich ofiara obowiązku rodzicielskiego uiszcza. Zapłata, którą dostają oni, wynosi we Francyi niekiedy 70% sumy, składanej po raz pierwszy przez ubezpieczonego. Atoli danina ta, uiszczana agentowi, jest tylko jednym z drobnych *faux frais* społecznych, które ubezpieczający powinien opłacać. Dla przykładu rozejrzymy się w taryfach pewnego towarzystwa — nazwiska jego nie wymieniam dla tej prostej przyczyny, iż nie jest ani lepsze, ani gorsze od innych. Przypuśćmy, iż ktoś zabezpiecza urodzone niemowlę na kwotę 1,000 rs., płatną po skończeniu lat osiemnastu przez dziecko. Ojciec winien w tym razie uiszczać rocznie pewną sumę i zapłaci 7,493 rs., przyczem w razie przedwczesnej śmierci dziecka uiszczone premie zwracają się bez żadnego procentu, jeżeli zaś skon nastąpił w przeciągu pierwszych trzech lat asekuracyi, wówczas pierwsza roczna premia nie podlega zwrotowi. Albo weźmy jeszcze inny przykład. Ktoś ubezpiecza się na dożycie na sumę 1,000 rs. i na termin lat dziesięciu. W ciągu tego czasu winien on wnieść do towarzystwa 8,940 rs.; gdyby zaś śmierć nastąpiła wcześniej, rodzina otrzymuje wniesione premie bez żadnego procentu. Otóż w obu przytoczonych przypadkach osoba, któraby w kasie oszczędności składała tę samą sumę i otrzymywane procenty używała na powiększenie kapitału, po upływie terminu posiadałaby kwotę większą. Jest to więc możliwie najniekorzystniejszy sposób zbierania na stare lata pewnego kapitaliku, sposób, który tylko dlatego znajduje zwolenników, ponieważ ludzie nie ufają sobie, ażeby posiadali tyle hartu woli i odkładali stale corocznie pewną sumę. Towarzystwo akcyjne, zajmujące się ubezpieczaniem, po prostu tylko dlatego może prowadzić wspomnianego rodzaju operacye, ponieważ my nie mamy pewności siebie. Jedyną korzyść przedstawia ubezpieczenie na wypadek śmierci — dla pojedynczej osoby, bo w sumie ogólnej i tam *faux frais* społeczne nie są mniejsze.

Tak rzecz przedstawia się, o ile rozważamy ją krytycznie. Jeżeli dla d'Avenela ubezpieczenia są dowodem bezinteresowności wyjątkowej, dla nas są one tylko jedną z form dziejowych tego instynktu, bardzo kosztowną dla społeczeństwa i nawet demoralizującą, gdybyśmy zastanowili się jeszcze nad innemi stronami tych urządzeń. Przybiera ona charakter dodatniejszy, gdy oprze się na zrzeszeniu wzajemnem.

W.

LITERATURA I SZTUKA.

KRYTYKA I ANTROPOLOGIA.

Przypuszczenie nasze, iż ludzkość pierwotna zawierała typy stadne niższe biologicznie i samotne wyższe, nie może już niestety znaleźć żadnego bezpośredniego dowodu. Co najwyżej trzeba się opierać na powadze takiego badacza, jak Darwin, który wypowiada hypotezę, iż człowiek pierwotny mógł być samotnikiem. Ale jeżeli brak nam dowodów materyalnych, zewnętrznych, to natomiast psychologicznych mamy pod dostatkiem. Istotnie, każdy uważny badacz literatury powyższe dwa typy wciąż odnajduje.

W naszych czasach demokratyzmu ustalił się pogląd, iż człowiek jest „komórką społeczną,“ „atomem społecznym“—co jest niewątpliwie słusznem w zastosowaniu do członków stada, ale w zastosowaniu do typów samotnych stanowi zupełną niedorzeczność. Istotnie, nazwać pająka, który nigdy w żadnem towarzystwie nie przebywa, atomem społecznym, to znaczy nadużywać gry słów.

Jeżeli ludzkość zawiera resztki typów samotnych, wyższych, które czynnie wpływały na rozwój literatury i sztuki, to objaśniać rozwój ten jedynie ewolucyą stada jest, zdaniem naszem, błędem fatalnym, prowadzącym niechybnie do skrzywienia wszystkich sądów krytyki literackiej i artystycznej. Taki np. Posnett, który niewątpliwie napisał najgłębsze dzieło o ewolucyi literatury, tłomaczy ją wyłącznie zmianami w rozlewności i pogłębieniu życia społecznego i ani przez myśl mu nie przejdzie, iż pomimo wszelkich zmian w otoczeniu społecznem typy Prometeusza, Don Juana, Hamleta, Fausta-Mefistofelesa, Manfreda przedstawiają zadziwiające pokrewieństwo. Istotnie, mamy tu do czynienia nie z typami zawodowymi i socyologicznymi, lecz z jednym typem antropologicznym, który wbrew wszelkim zmianom otoczenia pozostaje w gruncie niezmienny.

Krytyka zadawala się zwykle powiedzeniem, iż Faust jest pierwszym wyrazicielem ducha nowożytnego, a Hamlet — pierwszym *neurosé*, iż Manfred wyraża rozczarowanie Europy po entuzyazmach W. Rewolucyi; w Don Juanie gotowa ona uważać bodaj czy nie neuropatę erotomana, wreszcie wobec Prometeusza jest zupełnie zbita z tropu i poprzestaje na tem, iż on podarował ogień ludzkości. Tymczasem pod temi cechami czasowemi i zawodowemi można niewątpliwie odnaleźć wspólny typ antropologiczny. Istotnie, kto uważnie i przez dłuższy czas bada historyę literatury, temu niechybnie rysuje się w wyobraźni jeden typ wodza i zapaleńca, o myśli uogólniającej, syntetycznej i wszechstronnej, pełnej harmonii i piękna naturalnego, samotny i ambitny. Galton dla zdobycia rysów charakterystycznych pewnej rodziny zdejmował na tem samem szkle fotografie z kilkunastu jej przedstawicieli, jedną na drugiej, symetrycznie. Wówczas cechy indywidualne się zacierają, a zostają tylko typowe, rasowe. Tego rodzaju praca odbyła się

nieświadomie w mej wyobraźni względem geniusza.

Wszystko to pokazuje nam, iż ludzie genialni, pomimo całej różnicy w zewnętrznych objawach psychicznych, obejmującej całą gamę zmian od świętości do rozpusty, od poświęcenia do samolubstwa, mogą być przedstawicielami tego samego pierwotnego, wyższego typu.

Inaczej mówiąc, budowa anatomiczna mózgów genialnych może być taż sama, tylko funkcye mogą być różne, zależnie od warunków otoczenia. Stąd widzimy jasno, iż ideałem krytyki naukowej byłaby taka, któraby potrafiła klasyfikować twórców według budowy ich mózgów. Niestety, wszystkie dotychczasowe nasze klasyfikacye muszą jeszcze opierać się na objawach psychicznych, tj. na funkcyach, a te — bezpośrednio — niczego prawie nie dowodzą.

Gdyby np. kto chciał klasyfikować geniuszów według ich szlachetności, doszedłby do wniosków zupełnie fantastycznych: jest to tylko funkcya mózgowa, która objawiać się może u typów biologicznych najrozmaitszych; tak np. u mrówek, pszczół, gołębi itp. znaleźć można objawy delikatności moralnej jak najbardziej wyrafinowanej — nie ustępują one pod tym względem najwznioślejszym typom ludzkim.

Mniej pewną podstawą dla klasyfikacyi byłyby jeszcze funkcye estetyczne: i pod tym względem typy niższe biologicznie mogą być daleko bardziej rozwinięte, niż najwyższe.

Najpewniejszą podstawą śród tych twórców funkcyj mózgowych mogłaby być siła umysłu — ta cecha wydaje się najściślej związaną z ogólnym postępem biologicznym i najmniej poddawać się kulturze i naśladownictwu. Jeżeli gołąb, przy odpowiedniej tresurze społecznej, może często przewyższać człowieka pod względem szlachetności lub elegancyi, to pod względem umysłowym żadne starania nie doprowadzą go do poziomu ludzkiego. Chodzi tu jednak nie o siłę asymilacyjną umysłów, w której różne rasy mogą być pod wpływem tresury mniej więcej zrównane, ale o jego lotność, o siłę uogólniającą i syntetyczną.

I w tej dziedzinie należy więc być nader ostrożnym. Często spotkać można ludzi o olbrzymich, encyklopedycznych wiadomościach, ale pomimo to czujemy, iż pod niemi kryje się mechanizm mózgowy nieelastyczny, jakby drewniany. Sprawiają oni wrażenie tych murzynów, co to od święta kładą na siebie po dziesięć różnobarwnych kamizelek. A ponieważ ludzi takiej wytworności umysłowej, którzy są jakby wciąż spoceni pod ogromem swej wiedzy, spotykać można coraz więcej, więc i ta, najpewniejsza podstawa, siła i rozległość umysłu, mogłaby doprowadzić przy klasyfikacyi geniuszów do rezultatów często dziwacznych. Inaczej mówiąc, krytyka naukowa twórczości tylko wówczas będzie możliwa, gdy antropologia da nam dokładną klasyfikacyę mózgów.

Już obecnie mamy pod tym względem niektóre nader charakterystyczne domysły naukowe. Taki np. Lapouge przyznałby niewątpliwie naszych antisemitów — o ile nie są długogłowcami, a większość ich napewno nimi nie jest — za nie-aryjczyków, a natomiast naszych semitów, o ile pozostali długogłowcami, tj. czystymi Żydami, za Aryjczyków *). A mianowicie pewna część europejskich długogłowców pra-aryjskich miała w swych oddalonych najazdach dotrzeć aż do Palestyny, również jak dotarła do Indyj i tam utworzyć klasę panującą. Zauważmy, iż różnice koloru skóry, formy włosów, języka, lub kultury, jako cech drugorzędnych, wobec tożsamości formy czaszki, nic nie znaczą. W takim razie byłoby także zrozumiałe to głębokie i wewnętrzne pokrewieństwo, jakie istnieje między Prometeuszem, niektórymi prorokami żydowskimi, Don Juanem, Hamletem, Faustem, Manfredem, pomimo całej powierzchownej różnicy tych typów.

Dodajmy wszakże, iż teorya „eugenistów“ Lapouge'a bynajmniej nas nie zadawala. Autor ten nie wytłomaczył, czemu jedni długogłowcy są geniuszami, a inni nimi nie są. Kwestyę tę wyjaśniliśmy, jak ona nam się przedstawia, ustanowieniem różnicy między typami samotnymi i społecznymi. Nawet w rasie najwyższej, dajmy na to aryjskiej, postęp biologiczny nie zatrzymał się i ona musiała wydawać samotników, przedstawiających najwyższe szczyty antropologiczne ludzkości.

Wykazaliśmy w artykułach poprzednio *), jakim systemem żelaznym ta samotność, spowodowana naturalnem ciśnieniem społeczeństwa, związana jest z egoizmem, wszechstronnością i intuicyą, oraz że wszystkie te cechy są równoznaczne z większem skupieniem energii biologicznej możebnej (potencyalnej).

Geniusz, zdaniem naszem, powinien być rozpatrywany jako mechanizm, w którym egoizm jest zawsze zastosowany do produkcyjności. Egoizm jest to wskazówka umieszczona przez naturę na tym mechanizmie, która wciąż pokazuje, jaką ilość paliwa należy dorzucać, aby machina ta dobrze funkcyonowała. Jest to ognisko, które może dawać piękny ogień, ale pod warunkiem, iż dokładać mu będziemy więcej węgla. Otóż społeczeństwo chciałoby przezwyciężyć ogólne prawo niezniszczalności siły: ono chce, aby stosy te ogrzewały i oświecały świat bez odpowiedniego opału; postępuje, jak ów chłop, co to chciał odzwyczaić konia od jedzenia, ale nie od pracy. Przez dziwną psychologiczną optykę krótkowidzów, tłum spostrzega tylko egoizm, a nie chce widzieć produkcyjności. Jest to główna przyczyna zaniku geniusza, a także tego, iż zamiast być siłą dobroczynną, staje się on często złowrogą.

Pokrewieństwo wszystkich wyżej wspomnianych typów poezyi wszechświatowej jest więc zrozumiałem: polega ono na najwyższem skupieniu energii możebnej, czyli intuicyi, jaką wogóle w ludzkości napotkać można. Znajdujemy ją, tę intuicyę, wyrażającą się głównie w syntezie umysłowej, u Eschylosa, Platona, Kopernika, Newtona, Darwina, Danta, Shakespeare'a, Cezara, Byrona, Bismarcka itd. Od wpływów otoczenia zależeć będzie, jaką formę czynną ta energia przybiera: czy przejawiać się będzie w poezyi, sztuce, nauce lub czynie. Te wpływy otoczenia doprowadzić ją mogą do zwyrodniałości i neuropatyi, jak w Hamlecie, do twórczości czysto biologicznej, jak u Don Juana (Hoffmanowskiego!), do przewrotności moralnej, jak u Manfreda lub Mefistofelesa, lub do szczytów poświęcenia, jak u Prometeusza.

Wszystkie te typy oddawna uznane zostały przez krytykę za ogólno-ludzkie: kryje się pod tem wspólność pochodzenia rasowego, które nam kiedyś antropologia wykaże. Są to typy w gruncie rzeczy niezależne od miejsca i czasu, gdyż warunki mogą tylko zmieniać ich formę powierzchowną, w głębi jednak pozostały one niezmienne, jak ich oddalony i samotny praprzodek. Krytyka społeczna, której najdoskonalszym przejawem dotychczas jest dzieło Posnetta, może nam objaśnić tylko zmiany chwilowe tej rasy twórczej, najwyższej, głębiej jeszcze może ona nam wyjaśniać ewolucyę typów niższych artystycznych, literackich i naukowych. Jest ona częścią niezbędną analizy twórczości, ale sama nie wystarcza. Właściwe swe oparcie, dla objaśnienia najwyższych objawów twórczości, krytyka znajduje dopiero w antropologii.

Dr. L. Winiarski.

*) Lapouge: *Les sélections sociales.*

*) Por. *Prawdę* z lat 1896 i 1897.

MALARSTWO.

II.

Wstęchłą i szarą atmosferę salonu Tow. zachęty sztuk piękn. wdarł się powiew świeży i wpadł złoty promień prawdziwej sztuki. To orzeźwiające tchnienie słoneczne zawdzięczamy inicyatywie krakowskiego związku artystów. Doznaliśmy prawdziwej ulgi, oglądając nadesłaną kolekcyę obrazów, nawet niezupełnie starannie dobranych. Więc są jednak u nas artyści, co chcą i umieją malować; więc potwierdza się przypuszczenie nasze, że jałowość wystaw warszawskich stałych nie z braku dzieł i talentów pochodzi, lecz z niedbalstwa, czy też nieudolności odnośnych zarządów? Bo przecież śród prac nadesłanych znajdują się niektóre prawdziwie piękne. Królują oczywiście śród rzeszy: Chełmoński i Fałat. Trzy obrazy pierwszego — to trzy przepiękne zwrotki poematu natury. To nie ta wyszukana przyroda, strojna w tęczę barw, w płaszcze jezior błękitnych lub pofałdowane szaty mórz. To ta prosta, zwykła, szara nasza w tym jej momencie psychologicznym pochwycona, kiedy to „po polach i rozłogach, po zapomnianych dawno drogach“ błąka się „zaduma polna osmętnica,“ kiedy „na Anioł Pański biją dzwony“ i „w niebiosach kędyś głos ich kona,“ lub gdy świt szary jeszcze nie rozpędził tych lekkich, a sennych oparów sinych, co się leniwie nad rdzawą ziemią jesienną wloką. A z tą naturą prostą w jeden akord harmonijny zlewają się ci ludzie zwykli, nie piękni a smętni, na jej łonie twardem wykołysani: ot chociażby ten oracz, co parę wołów zdyszanych popędzając, spieszy doorać ostatni zagon przy świetle ostatniego promienia, złocącego rąbki chmur i przenikającego lekkim fioletem powietrze („Orka“); ten grajek wiejski, co na skrzypkach lipowych jakąś nieskończoną, a tęskną piosnkę zawodzi, płynącą hen w dal bezbrzeżną, kędy się niebo z ziemią zlewa („Owczarek“); i ci młodzi pastuszkowie, rozpalający ogień w polu, widocznie z drzewek wilgotnych, bo gęste, białe, a wełniste kłęby dymu daleko się po zagonach kładą („Pastuchy“)...

„Największy malarz śród myśliwych i największy myśliwy śród malarzy“ otworzył znów przed nami panoramę kniei, przysypanej śniegiem. Po zaspach głębokich ciężko szoruje Miś, oglądając się co chwila na stado goniących go psów, które drżąc przed ponurem wejrzeniem strasznego króla borów, odskakują w tył, zajadle szczekając. A na scenę tę z góry spogląda pogodne niebo zimowe i po nagich pniach zwolna pełzające sinawe cienie („Niedźwiedź“)... Tuż obok, śród zielonej fali liści złocą się pysznie szerokie głowy słoneczników („Słonecznik“), a dalej w mrokach wieczora majaczą ciemne sylwetki domów i kościołów („Wieczór“). Dał jeszcze Fałat doskonałe studyum („Portret“): twarz jak z jednej bryły wykuta, o silnym energicznym wyrazie, którą mimowoli chce się przenieść na tło ciemnych lasów litewskich.

Po za Chełmońskim i Fałatem przyroda ma niewielu tłomaczy na wystawie. Jest bardzo ładne „Kopanie kartofli“ Antoniego Piotrowskiego, z doskonałemi kopaczkami i bardzo prawdziwymi karto-

flami; przypomina ono nieco obrazy Milleta: również proste w układzie, również pełne jakiejś cichej poezyi. Włodzimierz Tetmajer wystąpił z „Żytem," pełnem powietrza i przestrzeni, lecz nieco za twardem z niedbale wykończonemi postaciami żeńców; dał tenże artysta i „Wąwóz," niezły w rysunku, lecz również niewykończony, prawie zamazany. A po za tem? Po za tem — przeszło tuzin skrawków natury Stanisławskiego, rozmaitych „ostów," dużych i małych, „topól," „zmroków," „ogródków" itd., niebrzydkich, lecz nieprzemawiających ani do wzroku, ani do duszy, ponętnych co najwyżej dla *kunsthaendlerów*, a co zatem idzie — dla tych panów, którzy lubią „oryginalnymi obrazami" przystrajać ściany swoich salonów. Jest jeszcze z pół tuzina krajobrazowych „kawałków" Mehoffera, może niezłych w nastroju ogólnym, lecz odznaczających się tem, że drzewa na nich są zazwyczaj powykrzywiane tak, jak gdyby cierpiały na konwulsye. Są dwie akwaforty Pankiewicza, mające, według autora, wyobrażać „Zmrok" i „Pejzaż," a według nas — „co kto woli"; wreszcie kilka nieciekawych akwarel Masłowskiego — i oto wszystko.

Natomiast na wystawie dumnie się rozpanoszył portret. Aby ten rodzaj malarstwa traktować jako sztukę, a nie rzemiosło chlebodajne, musi artysta posiadać sporo pewności siebie, oraz dużo odwagi cywilnej. Bo chyba żadnej gałęzi plastyki nie doprowadzono do takiego stopnia doskonałości, jak odtwarzanie człowieka. Toż dosyć wspomnieć Holbeina, Albrechta Dürera, Rembrandta, Velasqueza i całą plejadę gwiazd mniejszych, aby zrozumieć, z jakimi potentatami walczyć wypada artyście, co się nad poziom szablonu wznieść pragnie. Śród tych mistrzów starych Hans Holbein zgasł bezpotomnie. Jego studya portretowe, malowane w śmiałym profilu lub zupełnem *en face* o różowem, jednostajnem, nieefektownem oświetleniu, pozostały wzorem nie do naśladowania: musiałby posiadać jego geniusz ten, ktoby się tej pracy tytanicznej podjąć zechciał. Portreciści współcześni — to przeważnie dzieci duchowe Dürera, Rembrandta i Velasqueza: od pierwszego wzięli charakterystykę ogólną, od drugiego — efekty świetlne, od trzeciego — brawurę i siłę ruchu, i z tych zlepków potworzyli arcydzieła. Bastien Lepage i Bonnat — we Francyi, Lenbach — w Niemczech, u nas—Horowitz, Pochwalski i, w ostatniej dobie swego życia, Matejko, doprowadzili portret do tych wyżyn, z których już chyba wznieść się dalej nie potrafi. Wobec takich reminiscencyj dzieła, które obecnie mamy przed sobą, muszą nieco stracić. Jedno z pierwszych miejsc zajmują płótna Wyczółkowskiego i Augustynowicza. Pierwszy dał wyborny w ruchu i charakterystyce portret prof. Rydygiera w otoczeniu asystentów. Bo też model miał artysta ponętny; wspaniała głowa, tchnąca jakąś żywiołową siłą i energią. Procz tego jest portret autora, nieco szkicowo traktowany, lecz efektownie oświetlony, oraz bardzo wdzięczne studyum pastelowe. „Wnętrze" (czego?) tegoż artysty, pomimo zalet perspektywicznych, wrażenia wywołać nie może, jako zupełnie niezrozumiałe. „Portret kardynała Sembratowicza" (Augustynowicz) poprzedziła w Warszawie sława; oczekiwania jednakże nieco zawiodły. Prawda, twarz, choć jakimś niebieskawo-szarym „sosem" zaprawiona, posiada dobrze uchwycony wyraz, lecz natomiast całość mało plastyczna, a akcesorya, jak np. suknia, zupełnie drewniane. Wolimy, pomimo tegoż nieszczęsnego „sosu," portret autora, oraz ową damę, wygodnie upozowaną w wyplatanym fotelu.

Biusty dam, malowanych przez T. Aksentowicza posiadają doskonałą karnacyę i plastykę. Twarze są mniej udatne; za mało w nich wyrazu i życia. „Portret p. Bl." ogólnym rysunkiem i układem przypomina nieco przepyszny „Portret damy" Podkowińskiego, lecz pierwowzoru nie dorasta. Śród studyów pastelowych pociąga oko prześliczna główka (oznaczona w katalogu nr. 10), pełna jakiegoś niewysłowionego, mistycznego czaru. Wygląda ona jak echo płócien Rossettiego (znanych nam, niestety, tylko z opisów): te same szare, gdzieś w dal zapatrzone tęskne oczy, te same zmysłowe usta, ta sama chmura ciemnych splotów, okalająca głowę.

Pani Boznańska, której talent tak się pięknie zapowiadał, dała trzy „zmanierowane" studya portretowe, na których wszystkie dzieci mają dokładnie te same oczy, łudząco do plam atramentowych podobne. Najlepiej udała się jej matka w „Ukochanej córce," z twarzą pełną macierzyńskiej dumy i tkliwości.

Mamy jeszcze na wystawie kilka portretów, wcale niezłych, Makarewicza, ładny „Portret p. J." Mehoffera z główką *à la* Greuse, studyum (katalogu nr. 38) tegoż, przypominające dzieła szkoły holenderskiej, i wreszcie portret akwarelowy Fałata, o którym wspominaliśmy wyżej.

Wszechstronny Mehoffer dał również jeden z najpiękniejszych obrazów na wystawie, doskonały w kolorycie, rysunku i oświetleniu „Rozmowę," oraz smętną „Muzę" z zieloną (dlaczego zieloną?) lutnią w dłoni, na tle ślicznego, znów pod względem ogólnego nastroju, krajobrazu. Niepodobna ona zupełnie do tej surowej, pełnej tragizmu „Muzy" Jacka Malczewskiego, co sprowadza przed senne źrenice artysty szereg widziadeł o twardych, pooranych twarzach, rodzonych braci doskonałych „Modeli," na które nędza i ciężka walka położyły swe niezatarte piętno. Innego rodzaju walka musiała się stoczyć pomiędzy bohaterami „Sprzeczki" Weissa; być może w niej też grała rolę nędza, która temu brutalnemu i zmysłowemu mężczyźnie ułatwiła zwycięstwo nad opłakującą chwilę słabości kobietą.

Zupełnie odrębne miejsce na wystawie zajmuje Wyspiański, mający widocznie słabość do realistycznego traktowania tematów idealnych. Jego „Ilustracye do Iliady" ilustrują co kto chce, lecz nie Homera. Czy się artysta zapatrzył na wzory archaiczne sztuki greckiej, np. na Apolina z Tenei — nie wiemy, znać tylko, że Grecya klasyczna jest mu obcą. Pomimo całej swej siły żywiołowej, rysunki nadają się chyba do takiej Iliady, jaką mógłby stworzyć uczony antropolog lub archeolog, lecz nie do tej, którą wyśpiewał genialny ślepiec. Patrząc na te ilustracye, mimowoli parafrazujemy słowa Sowińskiego: „Hellado, Hellado, gdzie bogi twe? Hellado, Hellado, gdzie męże twe?" Studya pastelowe tegoż artysty wyglądają tak, jak gdyby mistrzem jego w sposobie malowania był Puvis de Chavannes z jego twardo odrzynającymi się konturami. Pomimo jednak często niezrozumiałego kolorytu i brzydkiej maniery, wszystkie główki mają wyraz i charakter, co trzeba artyście w danym razie za szczególną poczytać zasługę, gdyż modele jego — to przeważnie dzieci i młode dziewczątka.

Rzeźba ma na wystawie wszystkiego dwu przedstawicieli: Laszczkę z dobrze wymodelowanym biustem p. Liedera i Kurzawę, który dał pięknie cyzelowaną wagę i talerz. To chyba niewiele...

Michał Mutermilch.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Goplana.

Po rozejrzeniu się w zamęcie, jaki zapanował we wrażeniach naszych po pierwszem usłyszeniu „Goplany," wiedząc już, co na rachunek efektów optycznych, wywoływanych świetnemi dekoracyami, zapisać należy, jaką rolę odegrywa świadomość, że mamy przed sobą uzmysłowione postaci legendy, do której od lat najmłodszych rwała nam się wyobraźnia, a co winniśmy muzyce Żeleńskiego, możemy przystąpić do spełnienia danej w poprzednim „Przeglądzie" obietnicy.

Jeżeli Moniuszce przypada w udziale nieśmiertelna zasługa stworzenia opery polskiej, Żeleńskiemu zawdzięczać będziemy, że tę operę rodzimą wyprowadził na szersze tory, że, mając na poparcie talentu wysokie wykształcenie fachowe i znakomitą znajomość środków technicznych, nadał muzyce swojej piętno ducha czasu, umiał, nie zacierając cechy swojskości w melodyi, stworzyć dzieło, mogące mieć powodzenie na każdej scenie cudzoziemskiej, być zrozumianem i odczutem przez każdego obcego, przygotowywanego na operach ostatniej doby, słuchacza. Wiemy dobrze, iż opera dzisiejsza to już nie zbiór aryj, wsparty ubogim w swej prostocie akompaniamentem; dziś orkiestrze kompozytorowie nadają równie ważną, a niekiedy i większą od głosów rolę, tak że zdarza się, iż np. w „Królowej Saby" Goldmarka można z przyjemnością słuchać samej partytury orkiestrowej bez „wielkiej szkody dla sztuki." Kierunek ten, zapoczątkowany przez Wagnera, a podjęty skwapliwie przez „młode Włochy," sprawił, że opera zamieniła się niejako na symfoniczną ilustracyę danej treści, że wymagamy od kompozytora, aby arya, śpiewana przez bohaterów, odzwierciadlała nam ich charakter, aby nawet sytuacye znalazły odpowiedni wyraz w muzyce.

Świadomy tych wszystkich wymagań sięgnął Żeleński do skarbca poezyi naszej i wydobył zeń klejnot, wymagający mistrzowskiej oprawy. Zadania się nie uląkł i stworzył dzieło całkowite, żadnym rozdźwiękiem nierażące, wzniosłe nastrojem, niepospolite natchnieniem, doskonałe robotą. Licząc się z warunkami scenicznymi, dał przewagę światu fantastycznemu i zaznaczył to w samym tytule, ochrzciwszy operę nie imieniem właściwej bohaterki poematu, Balladyny, lecz „wód królowej" — Goplany. Wogóle zaś libretto, pióra p. Germana, niebardzo odbiega od oryginału. Wszystkie prawie postaci zachowały charakter taki, jaki im nadał poeta; tylko Kirkor z bohaterskiego rycerza przedzierzgnięty został w lirycznego kochanka, który, pomimo groźnej zbroi, nie budzi obawy, i Kostrynowi też nieco odmienna w szczegółach przypadła w operze rola.

Uwertury „Goplana" niema; nie wpada Żeleński wprawdzie kilku taktami w akcyę, jak Verdi w „Falstaffie," daje wszakże krótką tylko introdukcyę, która całym nastrojem melodyi i kunsztowną instrumentacyą doskonale przygotowywa słuchacza do wycieczki w ten świat nadzmysłowy, w który go kompozytor wprowadza. Rzewne tony waltorni zawodzą na tle tremolanda skrzypcowego, łagodne dźwięki fletu gonią się wzajemnie, malując brzmieniem pohulankę wietrzyka porannego śród sitowia na jeziorze, odzywa się klarynet, śpiewa szeroko harfa, z za sceny dobiegają chóry duchów i zupełnie naturalnem wydaje nam się, że po podniesieniu kurtyny jesteśmy w towarzy-

stwie Skierki, Chochlika i Goplany, a po scenie snują się łątki, ważki i panny. Prozę ziemską do tego świata fantastycznej legendy wprowadza Grabiec, drwiący z rozkochanej w nim Goplany, a stosunek tej nierównej pary scharakteryzowany jest po mistrzowsku w duecie. Spokojnemu, rozmarzającemu śpiewowi Goplany, trzymanemu w formie walca, wtóruje Grabiec piosnką rubaszną, pełną sielskiego humoru i swojskiego rytmu. Jest to jeden z najpiękniejszych urywków opery, niesłychanie kunsztownie pod względem harmonii opracowany.

W obrazie drugim, przed chatą wdowy, romans Kirkora, kwintet z towarzyszeniem chóru, oraz końcowa scena różowych snów i modlitwy Aliny, to perły prawdziwego natchnienia; melodya płynie szeroko, swobodnie, kompozytor nie tamuje jej lotu, pozwala jej się rozwijać, tło orkiestrowe dopełnia pieśń, nie zagłuszając jej. Słabszy natomiast wydaje nam się początek monologu „skrzydlatego rycerza," oraz chór „orląt śmiałych," których „wiedzie w ostępy" niedosyć buńczucznie. Śliczny dalej motyw mamy znów w króciutkiej piosence Chochlika, który, ukryty na drzewie, poddaje wdowie myśl, aby wysłała córki po maliny. Obraz pierwszy aktu drugiego, to, zdaniem naszem, najbardziej skończony ustęp dzieła. Zaklęcie nieczułego Grabca w wierzbę, melodyjny chór zawodzący z nim razem, przedziwny efekt wywołany tem, że wbiegająca na scenę Alina odbiera ton (a) znikającej za kulisami Goplanie, scena zbrodni Balladyny, drugi efekt, dreszcz zgrozy wywołujący — jęk wierzby: „Jezus Marya" — cały kontrast wzniosłego spokoju w przyrodzie i zażartej walki namiętności ludzkich jest wprost odmalowany dźwiękami. Koronę obrazu tego stanowi *intermezzo*, które, niby pieśń pogrzebową, wyśpiewuje orkiestra na swojską nutę nad zwłokami Aliny. W drugim obrazie tego aktu, znów przed chatą wdowy, Balladyna, powróciwszy z pełnym dzbankiem malin Aliny, rzuca potwarz na zamordowaną, przybywają swaty (chór na rytm oberka), przybywa i Kirkor w otoczeniu rycerstwa, a do śpiewu jego powracają pojedyncze ustępy z romansu „do jaskółki" i obraz kończy się krakowiakiem, napisanym podobno specyalnie dla sceny warszawskiej, kunsztownym wielce w pomysłach kontrapunktowych, ale jakimś nieszczerym w melodyi i rytmie.

Co do aktu trzeciego — wydał nam się nieco za rozwlekłym — akcya powinnaby tutaj toczyć się w szalonem tempie, a chwile, już nie dramatyczne, lecz tragiczne, następować, jak gromy, jedna za drugą. Więc może zbyt długą jest nieco scena matki z Balladyną, zakończona wypędzeniem wdowy, której wstrząsająca opowieść o śnie, streszczająca się w wyrazach „ta plama, to krew Aliny," większe jeszcze zrobiłaby wrażenie, gdyby obecną jej była wyrodna córka. Może w ostatnim obrazie żywszą wolelibyśmy akcyę, co podniosłoby grozę śmierci Grabca, a zwłaszcza Balladyny. Obraz pierwszy tego aktu rozpoczyna się monologiem małżonki Kirkorowej — bo nie można tego śpiewu Balladyny nazwać aryą; są to urywane, krótkie, szorstkie, namiętne frazesy, w których skarży się, że choć celu dopięła, pragnienia jej niezaspokojone. W następującym duecie z Kostrynem nie mogliśmy się dosłuchać tonów miłości, choćby najbardziej zmysłowej — to raczej jakiś wyzywający hymn dwojga spólników zbrodni, która ma się spełnić w obrazie ostatnim. Wybitne momenty tego obrazu, to wejście Grabca w przebraniu króla dzwonkowego (tłomaczące się niedość jasno przez zupełne usunięcie z libretta postaci pustelnika), wstrząsający monolog Balladyny, *brindisi* Kostryna, za mało charakterystyczne w rytmie, niedość fantazyj mające w melodyi, przepiękne, choć krótkie opowiadanie matki i wspaniały finał, szeroki, majestatyczny, przejmujący powagą marsza pogrzebowego.

Jakie trudne zadanie mają w „Goplanie" wykonawcy, zrozumieć może tylko ten, kto jako tako wtajemniczony jest w technikę sztuki śpiewaczej i orkiestrowej. Nie przypominamy sobie na razie opery tak niewygodnie dla głosów napisanej — wszystkie arye, wszystkie *recitativa* wyłącznie prawie na wysokich nutach trzymane, wymagające ciągłego natężenia organu, niekiedy w krzyk przechodzące. Przytem rytm zmienny, fantastyczny, wymaga niepospolitej muzykalności śpiewaków i niemałej wprawy dyrektora orkiestry i, wyznajemy szczerze, iż strach nas przejmuje na myśl, co stać by się mogło, jaki powstałby zamęt śród głosów i instrumentów, gdyby pałeczka dyrektorska dostała się w mniej umiejętną dłoń, niż p. Trombiniego. Partya tytułowa — choć nie największa i najważniejsza w operze — dostała się p. Korolewiczównie, a młoda artystka, obdarzona dźwięcznym jak srebro głosem, umiała się wcielić w poetyczną postać „wód królowej." Po p. Strassernównie można się było spodziewać, że będzie w ogólnym zarysie typową Balladyną; muzyczna strona roli zadowoliła nas też zupełnie; co do gry aktorskiej — są jeszcze niemałe braki w szczegółach, ale artystka, w krótkim swym zawodzie scenicznym nie mogła jeszcze zdobyć tyle rutyny, żeby stworzyć postać doskonałą. Wykazała wszakże dużo temperamentu aktorskiego, którego dowody daje nam zresztą w każdej nowej roli. Zwykły chłód p. Skulskiej był tym razem zupełnie na miejscu — Alina jej stała się w miarę poetyczną, lękliwą i rozmarzoną. Partyę wdowy może p. Szczepkowska zaliczyć do najlepszych w swoim repertuarze, a prawdziwą niespodziankę zrobiła nam pani d'Orio, oddając doskonale figlarną postać psotnego Chochlika; Skierka p. Lewickiej był może nieco za sentymentalny.

Męzkich partyj niewiele w „Goplanie" — i to ubóstwo jędrnych, pełnych głosów odczuwamy jako jedyną większą wadę znakomitego dzieła Żeleńskiego. Kirkor (p. Myszuga), Kostryn (p. Chodakowski), Grabiec (p. Sienkiewicz), halabardnik (p. Kawalski), który niewiadomo dlaczego z mieczem wchodzi na scenę, a tylko z kilku taktów ma rolę złożoną — oto wszyscy, nie licząc chórów, mężczyźni w Goplanie. Czy trzy te role dostały się odpowiednim wykonawcom? — nie wydaje nam się; możeby lepszym, bardziej rycerza przypominającym Kirkorem był p. Sienkiewicz, a p. Myszuga trafniej, szczerzej umiałby oddać humorystyczną, dobroduszną głupkowatość Grabca. Kostrynowi p. Chodakowskiego nic zarzucić nie możemy, a nadto osobne uznanie należy mu się za wzorowe wyreżyserowanie całości. Z temi samemi słowami uznania winniśmy się zwrócić i do kierownika chórów i do baletmistrza i do dekoratorów — wszyscy wespół z artystami i p. Trombinim najusilniejszych dołożyli starań, aby wykonanie i wystawienie dzieła Żeleńskiego godne było pierwszej polskiej sceny.

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

SPRAWY SPOŁECZNE J. Baudouin de Courtenay wystąpił w broszurze p. t. „Jeden z objawów moralności oportunistyczno - prawomyślnej" przeciwko t. zw. „fałszywej fasyi," tj. zwyczajowi podpisywania w Krakowie kontraktów z mniejszą ceną komornego, niż rzeczywista, dla umożliwienia właścicielowi domu obniżki podatków, pobieranych od dochodu. Autor dowodzi niemoralności tego powszechnego oszustwa i jego wpływu na etykę ogółu.

ENCYKLOPEDYI powszechnej Orgelbranda wyszedł z. 14.

— „Encyklopedyi wiadomości pożytecznych" z. 25.

BADANIA NAUKOWE. E. Majewski: „Wskazówki dla konserwowania przedmiotów starożytnych (wykopalisk)," odbitka z „Wisły" (17 str.).

— F. Kucharzewski: „Olbrychta Strumieńskiego o sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów" (1573), odbitka krak. Akad. Um. (86 str.).

HISTORYA LITERATURY. P. Chmielowski: „Obraz literatury polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach," z. 6.

HISTORYA. „Dzieje powszechne ilustrowane," zeszyty 179—204. Ogromne i wytworne to wydawnictwo dobiegło już do połowy.

— W. Zakrzewski: „Historya starożytna" (264 str.), „Historya wieków średnich" (243 str.), Grendyszyński.

— Dr. A. Karbowiak: „Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich," część I, 339 str. (od 966—1363), Grendyszyński.

— Pamiętników L. Dembowskiego p. t. „Moje wspomnienia" wyszedł t. II (441 str.), Grendyszyński.

— W Petersburgu wyszedł tom I książki p. t. „Początek końca Polski"; materyały archiwalne, odnalezione przez kapitana sztabu, Iljenko, pod redakcyą prof. Heismana. Autor opisuje wypadki wojenne od r. 1764. Ważne znaczenie mają przytoczone w całości dokumenty. Wogóle zaś praca jest stronna.

PODRÓŻE. Dzierżek: „Wycieczka kolarza na Mazury Pruskie" (64 str.). Dubowski.

POWIEŚCI. Marya Zabojecka: „Dusza" (102 str.).

— K. Laskowski: „Kulturtraeger" (307 str.), Sennewald.

— M. Jasieńczyk: „W Wielgiem" (512 str.), Grendyszyński.

POEZYA. Adventius: „Zgasła," poemat liryczny z ilustracyami J. Wasilewskiego (23 str.).

DRAMAT. Nakładem autora wyszły w Krakowie „Dramaty i komedye" A. Belcikowskiego, w 5 tomach, które zawierają: Hunyady — Kmita i Bonarowna — Adam Tarło — Król Donżuan — Nie jesteśmy sobie nic winni — Wizyta pana Feliksa — Dwaj Radziwiłłowie — Franciszka di Rimini — Protegujący i protegowani — Król Mieczysław II Focyusz — Król Wł. Warneńczyk — Przysięga Król Bolesław Śmiały — Jan Sobieski — U kolebki narodu — Korona Lechów. Cena rs. 6.

POEZYE

DZWON PAMIĘCI.

Gdy martwa cisza myśl naszą omota,
Po cóż uderzać nam w pamięci dzwon?
Na dźwięk ten — w pustkę naszego żywota
Wichr niepokoju wtargnie ze wszech stron:
I przyczajona zerwie się zgryzota
I wnet zawarczy z głębi naszych ton:

— Gdzież twoja wiara, co dzielna, wyniosła
Dźwigała zawsze z tobą cierpień krzyż?
Miałeś w niej wówczas skrzydlatego posła,
On z twą modlitwą ulatywał w zwyż...
Lecz, gdy raz głośną twą skargę zaniosła,
Martwa tam padła pośród rajskich cisz.
Próżno wybuchać w rozpaczliwe łkanie,
Co zmarło w niebie, to nie zmartwychwstanie!

— Gdzież twa nadzieja? — Syn był ci opoką;
Na niej wznosiłeś swej nadziei gmach —
Mdlały ci ręce, lecz pałało oko,
Gdyś marzył: spocznę tu w starości dniach!
Śmierć przyszła — ziemię rozdarła głęboko
I nagle syn twój legł na pleśni mchach.
Próżno uderzać w rozpaczliwe łkanie,
Co wpadnie w ziemię, dziś nie zmartwychwstanie!

— Gdzie twoja miłość? — Niby żyzna gleba,
Serce twe biegło do wieśniaczych chat,
Śmiejąc się do nich, do drzew i do nieba,
I gdy świegotem wrzało ptasich stad
Pełne miłości swej kwiatów i chleba,
Złej ludzkiej woli wnet je zniszczył grad.
Próżno wybuchać w rozpaczliwe łkanie,
Co ludzie zdepcą, już nie zmartwychwstanie!

— I nie dozwoli ci sroga tęsknota
Ani się żalu, ni goryczy zbyć!
I wnet cię spotka zmierzch twego żywota
Jako zwieszoną nad przepaścią wić;
Patrz! — Choć się ona po przestrzeni miota,
Lecz wichrom zdana, nie umiała żyć!
Pocóż uderzać nam w pamięci dzwon?
Hymnu otuchy nie wydzwania on!..

El—ka.

W DALI.

Nowomińsk. Pisma codzienne, a także *Warsz. Dziennik* wystąpiły bądź z opisami oburzających faktów, bądź z wykazaniem naglącej potrzeby zwiększenia środków bezpieczeństwa w powiecie Nowomińskim. Nie brakło w nim nigdy opryszków, ale założenie kolonii złodziejów pobytowych zdemoralizowało okolicę do reszty. Jak donoszą wspomniane dzienniki, rabusie włamują się do gospodarstw włościańskich i dworskich, gdzie kradną wszystko, co unieść lub uprowadzić można, napadają na przejeżdżających, przyczem nieraz łamią opór zabójstwem lub pokaleczeniem ofiar. Steroryzowana ludność płaci złodziejom daniny i nie skarży się, a nawet nie chce świadczyć z obawy zemsty — podpalenia, kradzieży lub morderstwa. Jednocześnie służba folwarczna, nie mogąc wytrzymywać, a tem bardziej odpierać niebezpiecznych ataków, opuszcza swoje miejsca, stróże zaś nocni nie chcą pełnić swych obowiązków. Nie ma prawie dnia, ażeby kogoś nie okradziono, zwłaszcza konie giną ustawicznie. Do jakiego stopnia dochodzi bezkarna zuchwałość opryszków, dość powiedzieć, że na folwarku Brzeziny ukradziono świeżo wszystkie konie, a chociaż sprawcy tego napadu (zbiegli z aresztów, pobytowi i zawodowi złodzieje) są znani, ani ich nie złapano, ani koni nie odzyskano. Do grabieży i rozbojów dopomagają im przyjaciele i spólnicy miejscowi, którzy ich przechowują i kryją ich łupy we wsiach i koloniach gminy Wiązowna. Wytępić odrazu te gniazda moralnej zarazy i zbrodni trudno, ale że możliwe, przekonywa gmina Pustelnik w tymże powiecie, gdzie energiczny wójt poskromił bardzo rozwinięte przed nim złodziejstwo i rozprawy nożowe.

Radom. Sprawa organizacyi Towarzystwa kredytowego miasta Radomia — jak donosi gazeta miejscowa — jest zupełnie na dobrej drodze. Ministeryum w zasadzie już zgodziło się zatwierdzić ustawę. Należy tylko dopełnić kilku drobnych formalności, a miasto, dzięki obywatelowi p. Józefowi Grajnertowi, pozyska niezadługo nową instytucyę.

Kielce. W sprawie projektowanej w Kielcach szkoły górniczej, *Now. Wrem.* zamieszcza list prezydenta kieleckiego, odpierający zarzuty tej gazety: „Miasto Kielce — pisze prezydent — które w latach 1816—1820 miało akademię górniczą, leży w środku okręgu górniczego zachodniego, którego zarząd mieści się w Suchedniowie; miasto wystąpiło z podaniem o utworzenie szkoły średniej 4-klasowej górniczo-technicznej typu IV. Według etatów szkół przemysłowych z d. 26 czerwca 1889 r., wydatki na utrzymanie zakładu, posiadającego 160 uczniów (po 40 w klasie), wyniosą 25,583 rs. rocznie. Otóż wpisowe uczniów sturublowe i roczna zapomoga miejska 9,000 rs. czynią skromną prośbę miasta najzupełniej wykonalną. Dodać też należy, iż na raporcie najpoddanniejszym gubernatora kieleckiego z r. 1895, przy ustępie uzasadniającym, iż założenie w Kielcach średniej szkoły górniczej będzie bodźcem do oświaty i szerzenia wiedzy, Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan raczył napisać: *Jestem przekonany.* Komitet ministrów na posiedzeniu d. 3 czerwca, po wysłuchaniu rzeczonego raportu, między innemi uchwalił: zawiadomić o takiej uwadze Najwyższej ministeryum oświaty, które znowu, za pośrednictwem kuratora okręgu warszawskiego, zwróciło się do gubernatora kieleckiego z zapytaniem co do możliwości urzeczywistnienia projektu."

Maków. *Warsz. Dziew.* donosi, że przy czytelni ludowej, otwartej w Szelkowie (pow. Makowskim), utworzono małe muzeum rolnicze w celu zapoznawania włościan w sposób poglądowy z rolnictwem, chowem inwentarza, ogrodnictwem, pszczelarstwem, drobnym przemysłem ludowym itp. Wśród okazów muzealnych, ofiarowanych przez różne osoby i firmy przemysłowe, znajdują się maszyny i narzędzia rolnicze, zdjęcia fotograficzne zarodowych sztuk bydła, krajowe wyroby garncarskie z pow. Mazowieckiego, okoliczne wyroby tkackie, stolarskie, koszykarskie, okazy torfu z pobliskich pokładów, leżących dotąd odłogiem itd. Jako ofiarodawców muzeum szelkowskiego, *Warsz. Dniew.* wymienia pp.: gubernatora łomżyńskiego Korfa, Małajewa, Moszczenko Moszkina, Bykowa, Nieznamowa, Papadogło, Szustowa, Druri, Blumenfelda, Aleksandrowicza, Akimowa, Glinkę ze Szczawina, Kowalskiego i Trylskiego, Zygmuntowicza, Walerzaka, Zaleską, Napiórkowskiego, Chrzanowską z Chrzanowa, Grudzińską z Nowej Wsi, Żebrowską z Makowa, Schüra z Łukowych, Rejcherta z Drążewa, Julię Zygmuntowiczównę i innych.

Charków. Miejscowe Towarzystwo opieki nad osobami niezamożnemi wyznania rzymsko-katolickiego, działające niespełna dwa lata, rozwija się dość pomyślnie i działa owocnie. W pierwszym roku liczyło sto kilkdziesięciu członków, obecnie zaś już 200. Kasa posiada spory kapitał. Zapomogi rozdawane wynoszą rocznie rs. 2,000. Źródłem zwiększania funduszów są przedstawienia amatorskie w teatrze miejscowym, bale i wieczorki. Dzięki staraniom tej instytucyi, powstała w Charkowie szkółka dla dzieci ubogich wyznania katolickiego płci obojej. Dziatwa dostaje codziennie posiłek darmo. Między innemi wykładane są: religia katolicka i język polski. Parafia charkowska liczy około 5,000 katolików. Są między nimi Niemcy i Czesi koloniści, którzy w powiatach południowych zajmują się rolnictwem.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Projekt ustawy kasy literatów i dziennikarzy uzyskał przychylną opinię J. O. Generał-Gubernatora i w tych dniach przesłany został do ministeryum spraw wewnętrznych.

— Ministeryum spraw wewnętrznych ukończyło opracowywanie projektu zaprowadzenia władz ziemskich w guberniach północno-zachodnich.

— Minister skarbu zażądał miliona rubli kredytu, jako zapomogi dla kuratoryów trzeźwości w guberniach północno-zachodnich.

— Mieszkańcy Grodziska występują do władzy z prośbą o wydalenie z tej miejscowości 70 rzezimieszków pobytowych, którzy nieustannie dopuszczają się kradzieży.

Szkoły. Senat rządzący wyjaśnił, że danie pozwolenia na otwarcie szkół rysunkowych zależy od kuratora okręgu naukowego w porozumieniu z administracyą gubernialną.

— B. przełożony 4-klasowej szkoły w Płocku, p. Andrzej Ubysz, otrzymał pozwolenie na otwarcie w Kielcach 4-klasowej szkoły filologicznej męzkiej.

— Ministeryum rolnictwa zakłada w r. b. 36 szkół rolniczych, 16 ogrodniczych.

Prasa. Gazecie *Sibir* udzielono trzecie ostrzeżenie z powodu przekroczenia programu tudzież trwającego w dalszym ciągu szkodliwego kierunku pisma.

— Minister spraw wewnętrznych postanowił wstrzymać drukowanie ogłoszeń prywatnych w *Grażdanine.*

— Z powodu szkodliwego kierunku wychodzącej w Tyflisie gazety ormiańskiej *Ardzchank*, główny naczelnik kraju zawiesił ją na 8 miesięcy.

Zdrowie publiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych dało pozwolenie prof. O. Bujwidowi na przysyłanie do państwa rosyjskiego wyrabianej przez niego w Krakowie surowicy przeciwbłoniczej.

Dobroczynność. Przy zakładzie dla kalek nieuleczalnych pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Warszawie (ul. Dzielna) otwarto schronisko dla dzieci, których matki zajęte są całodzienną pracą po za domem.

Sądy. W sprawie włościan powiatu Konstantynowskiego o zaburzenia przy spisie jednodniowym, izba sądowa uchyliła wyrok sądu okręgowego w Siedlcach i uwolniwszy obwinionych w zarzucie oporu władzy, skazała za zelżenie władz gminnych i zakłócenie spokoju publicznego, siedmiu na 10 dni, innych na 7 dni aresztu policyjnego.

Koleje i komunikacye. Układanie szyn kolei Syberyjskiej doprowadzone będzie do Irkucka w końcu kwietnia.

— Kolej Dąbrowska ma być wykupiona na rzecz skarbu 13 stycznia 1901 r.

— Prawidłowa komunikacya na nowej linii kolejowej Łuków-Lublin rozpocznie się 11 b. m. Na początek wprowadzone będą dwa pociągi towarowo-osobowe.

Wystawy i zjazdy. W marcu r. b. odbędzie się w Warszawie zjazd członków Towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia od gradobicia.

— D. 27 stycznia w Jekaterynburgu otwarto szósty zjazd przemysłowców górniczych uralskich.

— Finlandyi pozwolono mieć na wystawie paryskiej osobny pawilon w obrębie działu rosyjskiego.

Przemysł i handel. Ziemianie gub. Radomskiej przystąpili do utworzenia spółki rolniczej.

— Departament celny wyjaśnił, że pięciorublówki złote winny być przyjmowane na komorach w cenie 3 rs. 33⅓ kop.

— Ostateczny termin wymiany banknotów 25, 10 i 5 rublowych z r. 1887 upływa 31 grudnia 1899 r.

— Ziemstwa gub. Chersońskiej, Besarabskiej i Taurydzkiej przeznaczyły 2,000 rs. nagrody za popularne podręczniki do nauki sadownictwa i ogrodnictwa w zastosowaniu do warunków tych gubernij.

— Zawiązane świeżo w Warszawie Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe rozpoczęło już swe czynności. Ustawa, otwierając wszystkim pełnoletnim mieszkańcom Warszawy obojej płci wstęp, opiera byt Towarzystwa na samopomocy, ma na celu zainteresowanie jak najszerszego ogółu, składania oszczędności i korzystania w potrzebie z taniego i łatwego kredytu, tem bardziej, że udziały, wkłady i wszelkie pieniężne czynności z Towarzystwem zwolnione są od opłat stemplowych, a nadto nowowstępujący członkowie nie ponoszą opłaty wstępnej, t. zw. wpisowego. Funduszom składanym w tej instytucyi ustawa zapewnia zupełną rękojmię, opartą przedewszystkiem na udziałach i całym majątku Towarzystwa, jaki z obrotów wytworzy się, a następnie na nieograniczonej odpowiedzialności wszystkich stowarzyszonych członków, stosownie do wniesionego udziału. Książki rachunkowe, wydawane przez zarząd, stanowią, podług ustawy, jedyną formalność, zabezpieczającą całkowicie fundusze, lokowane w Towarzystwie.

— Dzienniki donoszą, że monetę srebrną rosyjską bije nietylko mennica paryska, lecz i belgijska, która w tych dniach odsyła zamówione przez Rosyę 18 milionów rubli srebrnych. Moneta, bita za granicą, ma w obwódce gwiazdki, bita zaś w Rosyi — dwie litery w nawiasie.

Katastrofy. W Moskwie spalił się wielki gmach teatralny Sołodownikowa. Kilku strażaków otrzymało ciężkie rany.

— Z Charkowa donoszą, iż skutkiem wybuchu gazów w kopalniach mokiejewskich zginęło ogółem 70 górników.

Zmarli. Henryk Hoffmann, w Warszawie, adwokat przysięgły, magister prawa i administracyi, były docent Szkoły Głównej na katedrze historyi prawodawstw słowiańskich.

— Emil Richebourg, w Bougival pod Paryżem, znany powieściopisarz francuski.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 23 Января 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.